

Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie

W NUMERZE:

WIEŚCI ZE LWOWA, Z ZIEMI LWOWSKIEJ,

KURIER

galicyjski

DWUTYGODNIK
15 stycznia 2008
nr 1 (53)

NIEZALEŻNE
PISMO
POLAKÓW
NA UKRAINIE

**HALICKO-POKUCKIEJ, WOŁYNIA,
BUKOWINY I PODOLA**

**Bukowel –
ukraińska
Szwajcaria**
PIOTR JANCZAREK
-s. 4



**„Reanimacja”
lub „Animacja”**
JURIJ SMIRNOW
- s. 8



W DRODZE DO DEMOKRACJI

Gdy w niedzielę, 13 stycznia w Polsce po raz szesnasty grała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy Jurka Owsiaak, przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie koncertowali znani artyści, a wolontariusze z puszkami wyszli na ulice polskich miast, ponad 20 tys. Gruzinów zebrało się na apel opozycji w centrum Tbilisi. Centralna Komisja Wyborcza Gruzji ogłosiła ostateczne wyniki wyborów prezydenckich, zgodnie, z którymi wygrał Michaił Saakaszwili (53,47 proc.). Drugie miejsce zajął lider opozycji Lewan Gaczecziładze - 25,67% głosów. Badri Patarkaciszwili uzyskał 7,10% głosów, Szalwa Natelaszwili 6,55%, Dawid Gamkrelidze 4,05%, Georgi Maisaszwili 0,78%, a Irina Sariszwili 0,13%. Opozycja w akcie sprzeciwu rozpoczęła protesty, oskarżając władze o fałszerstwa. Zaprzysiężenie Saakaszwilego na nowy urząd prezydencki planowane jest na 20 lub 21 stycznia.

MARIA BASZA

„Walka o wolność, gdy się raz
zaczyna,
Z ojca krwią spada
dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów zachwiana potęgą
Skończy zwycięstwem...”
Lord George Byron

Sześciu członków CKW na trzy-nastu głosowało przeciwko uznaniu takiego wyniku i zapowiadają zaskarżenie decyzji do sądu. Jako przyczynę podano niedostatecznie wnikliwe rozpatrzenie skarg, dotyczących fałszerstw wyborów, złożonych przez partie opozycyjne oraz organizacje pozarządowe. Demonstracja partii opozycyjnych rozpoczęła się o godz. 14:00 czasu lokalnego (11:00 czasu polskiego). Liderzy tych ugrupowań zapowiadają udział wyborców spoza stolicy. Głównym postulatem jest przeprowadzenie drugiej tury wyborów. Wszyscy opozycyjni kandydaci oskarżają administrację państwową o manipulację przed i w trakcie wyborów na rzecz zwycięstwa Saakaszwilego w pierwszej turze.

Czy Gruzję można nazwać państwem demokratycznym? Czy ten kraj, podobnie, jak inne państwa postkomunistyczne Europy Centralnej i Wschodniej wkroczył na drogę demokracji?

Czym właściwie jest demokracja? Według Wikipedii, greckie słowo „demokracja” (*demokratia* oznacza „rządy ludu”, od wyrazów *demos*, „lud” + *krateo* „rządzić”) – ustrój polityczny, w którym źródło władzy stanowi wola większości obywateli. Gwarantem istnienia demokracji jest konstytucja (wyjątkami są Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej i Izrael, nie posiadające spisanej konstytucji). Obecnie powszechną formą ustroju demokratycznego jest demokracja parlamentarna. We współczesnej teorii demokracji liberalnej, wywodzącej się



Michaił Saakaszwili podczas rewolucji pomarańczowej w Kijowie

z prac Johna Locke'a i Johna Stuarta Milła zakłada się m.in., że ustrój demokratyczny powinien charakteryzować się: możliwością wyboru władzy przez wolne i uczciwe wybory, możliwością kandydowania do ciał tworzących władzę przez wszystkich obywateli, rządami prawa i jawnością stanowienia prawa, przestrzeganiem humanistycznej idei praw człowieka takich jak – wolność głosu swoich poglądów. Stworzenie ustroju, w którym z jednej strony wszyscy obywatele mają rzeczywisty wpływ na rządy, a z drugiej strony jest on technicznie sprawny, stanowi jeden z najważniejszych i wciąż nierozstrzygniętych problemów w teorii demokracji.

Na pytanie, jak wygląda budowanie demokracji w Polsce, dr Tadeusz Szawiel z Instytutu Socjologii w Warszawie, odpowiada: „Demokracja to bardzo złożony, wielopoziomowy instytucjonalny projekt. Proces instytucjonalizacji polskiej demokracji dokonał się w zasadzie wraz z przyjęciem konstytucji. Polska jest demokracją parlamentarną z pełniącym symboliczną rolę prezydentem oraz dość silną pozycją rządu i



Jedna ze studentek podczas rewolucji pomarańczowej w Stanisławowie

premiera. To jest jedna warstwa. Jak one funkcjonują, to osobny problem. Możemy mówić o kondycji polskiej demokracji, analizując postawę oby-

watelską Polaków i tutaj nasze oceny mogą być zróżnicowane. Podam taki przykład: Polska wyróżnia się na tle innych krajów postkomunistycznych, które na początku lat 90. zaczęły budować system demokratyczny, stosunkowo niską frekwencją wyborczą”.

Według badań, przeprowadzonych w dniach 24-28 kwietnia 2006 roku przez Centrum Badań Marketingowych Indicator na ogólnopolskiej grupie 1000 Polaków wynika – 81% obywateli uważa, że ustrój panujący w Polsce – to pełna demokracja, jednocześnie aż 65% ankietowanych jest niezadowolonych z jej funkcjonowania. Zdaniem 17% badanych ustrój panujący w Polsce nie zasługuje na miano demokracji; 2% nie ma na ten temat zdania. Według respondentów, najważniejsze cechy ustroju demokratycznego to regulame uczciwe wybory (uważa tak 97% badanych), prawo do udziału w nich wszystkich dorosłych obywateli (96%) oraz swoboda wyrażania poglądów politycznych (93%).

Demokracja w Polsce dojrzała – pisze brytyjski dziennik „Times”, komentując wybory do parlamentu w Polsce jesienią 2007 roku. W tekście pod tytułem „Mistrz Tusk” gazeta pisze, że „przyszły premier ma kwalifikacje, by kierować liberalną pod względem gospodarczym demokracją”. Brytyjski dziennik zastanawia się jednak, czy Tusk „rozumie różnicę między demokracją a populizmem”.

Jak wygląda budowanie demokracji na Ukrainie? Mykoła Riabczuk – ukraiński krytyk literacki, eseista i poeta pisze, iż na Ukrainie powstała demokracja, ale nieliberalna – bez państwa prawa, klarownego podziału władz, nienaruszalnych wolności obywatelskich, poszanowania własności. Taka demokracja przynosi głównie chaos, bezprawie i korupcję. „Trzeba uczciwie przyznać – kontynuuje Mykoła Riabczuk – że przez półtora roku rządów pomarańczowi >

**Dzieje
Bukowiny**
WOJCIECH KRYSIŃSKI
- s. 12



Wilgeforta
SZYMON KAZIMIERSKI
- s. 16



ISSN 1996-2304



▷ przywódcy nie zrobili prawie nic, by formalna demokracja afro-azjatyckolatoskiego typu przekształciła się w prawdziwie liberalną, którą udało się obronić podczas pomarańczowej rewolucji. Ale też trzeba stwierdzić, że rządzący od dziewięciu miesięcy premier Wiktor Janukowycz, jego Partia Regionów oraz jej koalicjanci – socjaliści i komuniści – zrobili wszystko, by zniszczyć nawet tę demokratyczną fasadę, którą tak cieszyliśmy się po pamiętnych wydarzeniach na Majdanie niespełna trzy lata temu”.

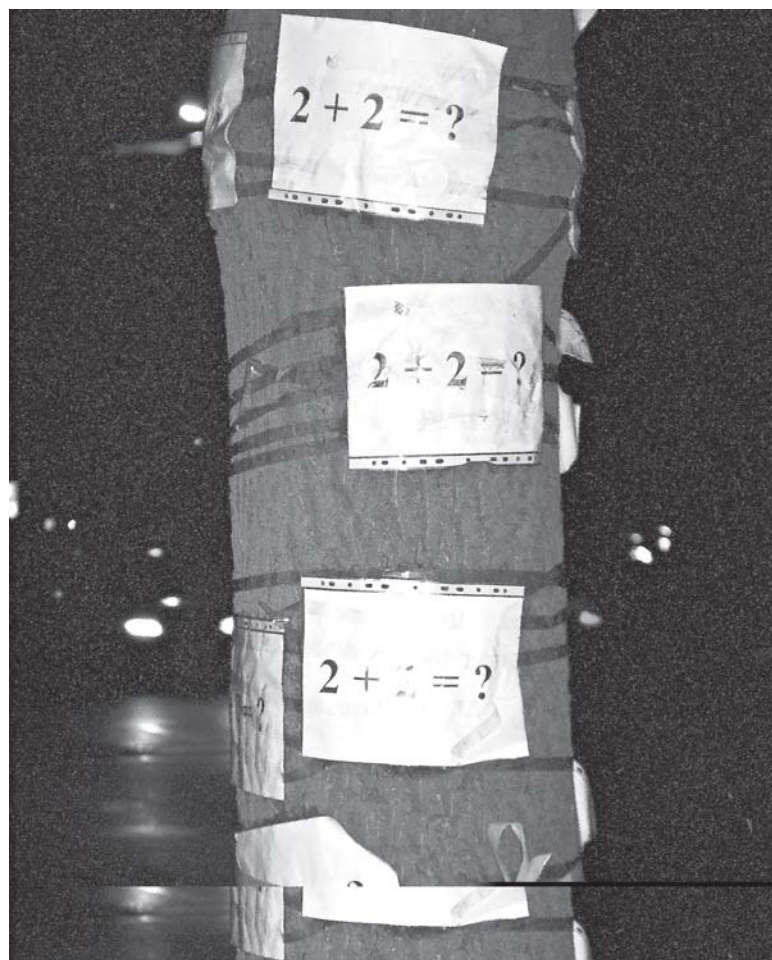
Przedterminowe wybory do Rady Najwyższej na Ukrainie w 2007 roku, zapowiedziane zostały po tym, jak 2 kwietnia 2007 prezydent Wiktor Juszczenko rozwiązał ukraiński parlament. Decyzję tę motywował łamaniem konstytucji przez rządzącą Partię Regionów poprzez opóźnianie składania

rzystów Bloków Julii Tymoszenko i Nasza Ukraina (przy obowiązku obierania większości na frakcjach parlamentarnych).



Stan wojenny w Polsce, Lubin 31.08.1982

marszałka Rady Najwyższej, a 18 grudnia premierem Ukrainy została Julia Tymoszenko. Ukraina uzyskała premiera ponad dwa i pół miesiąca po



Przed Ambasadą Polską w Warszawie, grudzień 2004

mandatów deputowanych przez posłów powołanych na funkcje rządowe (przy istniejącym zakazie łączenia tych stanowisk) oraz przyjęcie do koalicji rządowej kilku byłych parlamenta-

Liderka BJuT i była premier Julia Tymoszenko zadeklarowała chęć utworzenia „koalicji pomarańczowej”. 4 grudnia parlament głosami „pomarańczowych” wybrał Jaceniuka na

przedterminowych wyborach, które odbyły się 30 września. Kandydaturę Tymoszenko poparło 226 deputowanych bloku noszącego imię nowej premier i proprezydenckiego bloku Nasza Ukraina-Ludowa Samoobrona (NU-LS). Na swej pierwszej konferencji prasowej Tymoszenko zapowiedziała reformy wewnętrzne i zapewniła, że jej rząd będzie przewidywalnym partnerem na arenie międzynarodowej. Mówiąc o polityce zagranicznej Tymoszenko skoncentrowała się na stosunkach gazowych z Rosją, oraz roli Ukrainy, jako kraju, przez który płynie tranzytem gaz do państw UE. Natomiast dotychczasowy szef rządu Ukrainy Wiktor Janukowycz ostrzegł, że objęcie władzy przez Tymoszenko wzmocni polaryzację na Ukrainie. „Wydarzenie to pogłębi kryzys gospodarczy i podzieli w ukraińskim społeczeństwie. (...) Czekaj nas epoka intryg politycznych i swarów. Ciężko będzie utrzymać jedność (koalicji), mając tylko 226 deputowanych” – powiedział.

Wracając do ostatnich wydarzeń w Gruzji, analizując przemiany polityczne w Polsce i na Ukrainie, chciałoby się mieć nadzieję, iż kraje te są na dobrej drodze, na drodze budowania demokracji. Oby, parafrazując Byrona, można było powiedzieć: „Sto razy wrogów (demokracji) zachwiana potęgą kończy zwycięstwem...”

Świąteczne spotkania Rodaków

Najserdeczniejsze życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz zbliżającego się Nowego Roku złożyli sobie członkowie UTW we Lwowie, dzieląc się opłatkiem. Spotkanie miało miejsce 27 grudnia 2007 r. w stołówce Politechniki Lwowskiej. Rozpoczął je chór „Lutnia”, który wykonał kilka kołęd i pastorałek. Ks. prof. Józef Wolczański z Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie poświęcił opłatki i złożył wszystkim obecnym serdeczne życzenia. W swoim przemówieniu podkreślił ważne znaczenie Lwowa, który jest symbolem uczuć, miłości i wszystkiego, co najlepsze. Życzył wszystkim by nigdy nie zapominali o swoim związku z Polską, o ważnym znaczeniu wiary i, co najważniejsze, przekazywali polską tradycję przyszłemu pokoleniu.

Spotkanie opłatkowe w Kałuszu odbyło się 29 grudnia. W tym dniu obchodzono również 15-lecie Oddziału

*“Jest w moim kraju zwyczaj,
że w dzień wigilijny
Przy wejściu
pierwszej gwiazdy wieczornej
na niebie,
Ludzie gniazda wspólnego
łamią chleb biblijny,
Najtkliwsze przekazując
uczucia w tym chlebie”*

Cyprian Kamil Norwid

TKP im. Franciszka Karpińskiego w tym mieście. Prezes Nadzieja Wańczak złożyła obecnym tradycyjne życzenia świąteczno-noworoczne. W uroczystościach uczestniczyli: prezes TKP Wanda Ridosz, ks. dziekan Kazimierz Halimurka oraz zastępca mera Kałusza Bogdan Romaniuk. I zgodnie z dawnym zwyczajem polskim – dzielenie się opłatkiem, wzajemne życzenia, rozmowy, wspomnienia i śpiewanie kołęd.

5 stycznia swoje spotkanie opłatkowe w szkole nr 10 we Lwowie mieli członkowie Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi. O. Grzegorz Cymbała z kościoła św. Antoniego poświęcił opłatki i złożył zebranych serdeczne życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności. Potem składali je kolejno: Jan Franczuk, prezes tego Towarzystwa, Emil Legowicz, prezes TKPZL, który wspomniął o problemach, związanych z wizami Schengen i o Karcie Polaka, a także Emilia Chmielowa, prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Jej krótkie przemówienie można zacytować dwiema słowami: „Będzie lepiej!”. Te słowa są zawarte w tytule filmu, w którym złoowymi postaciami są Szczepcio i Tońcio. Któż, jak nie oni, mają uczyć nas optymizmu?

Inf. własna




KONSULAT GENERALNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ WE LWOWIE

zlokalizowany jest w dwóch miejscach

**Konsul Generalny, sprawy prawne,
opieki konsularnej**
Sprawy obywatelskie i repatriacji
Každy czwartek od godz. 10.00 do 14.00
(po uprzednim telefonicznym uzgodnieniu terminu)

Sprawy paszportowe
Každy poniedziałek i piątek od godz. 10.00 do 14.00
ul. Kociubińskiego 11a / 3, 79011 Lwów
sprawy kultury, nauki oraz wypłaty rent

Sprawy paszportowe, obywatelstwa i repatriacji
ul. Kociubińskiego 11a / 1, 79011 Lwów
tel.: (+380 322) 2601000
tel.: (+380 32) 2600855
fax: (+380 32) 2602938
e-mail: konsulat2@mail.lviv.ua
serwis internetowy: www.konsulat.lviv.ua

Sprawy wizowe
ul. Iwana Franki 110, 79011 Lwów
tel. (+380 32) 2970861, 2970862, 2970863,
2970864,
fax (+380 322) 760974
e-mail: konsulat@mail.lviv.ua
serwis internetowy: www.konsulat.lviv.ua

**W interwencyjnych przypadkach
(np. zagubienie paszportu przez obywatela
polskiego)**
należy się zgłaszać:
ul. Kociubińskiego 11a / 1 (w dni robocze od
godz. 8.30 do godz. 16.30)
lub do konsula dyżurnego
ul. Iwana Franki 110 (soboty, niedziele, święta)

Radio Opole podało

Współpraca z ukraińskimi mediami

Kolejne rozgłoszenie oraz polski dwutygodnik na Ukrainie rozpoczną współpracę z Radiem Opole. Rozmowy na ten temat prowadził we Lwowie prezes Marcin Palade. Nasza rozgłoszenia od czterech miesięcy emituje swoje audycje w państwowym Radiu w Iwano-Frankiwsku czyli dawnym Stanisławowie. Są one efektem umowy o współpracy, podpisanej w połowie roku. Takie porozumienia zawarte zostaną również z Polskim Radiem Lwów oraz państwowym radiem Tamopol.

Prezes Radia Opole Marcin Palade uzgodnił też warunki współpracy z

redakcją „Kuriera Galicyjskiego”. Jest to obecnie jedyna polska gazeta ukazująca się na całej Ukrainie zachodniej. Dotychczas Polacy na Ukrainie mieli ograniczoną możliwość przedstawiania swoich problemów w mediach elektronicznych. Poza lokalnym Polskim Radiem Lwów jesteśmy jedyną polską rozgłosznią, która zagwarantowała sobie prawo przemawiania do tamtejszych Polaków w języku ojczystym.

Jan Poniatyszyn

Wtorek, 18 grudnia 2007 15:26

PIOTR JANCZAREK tekst
TK BUKOWEL zdjęcia

Bukowel – ukraińska Szwajcaria

W samym centrum Huculszczyzny od kilku lat działa jeden z najlepszych i najnowocześniejszych ośrodków narciarskich w centralnej Europie. Mowa, oczywiście, o Bukowelu, położonym w pobliżu miejscowości Jasinia, 35 km od Jaremczy.

Nazwę „Bukowel” dobrze zna już wielu mieszkańców Ukrainy z Zachodu i Wschodu. Ten kawałek Szwajcarii na ukraińskiej ziemi, jak jest czasami nazywany, jest dla wielu z nich przykładem, że także w tym kraju można budować według najlepszych światowych standardów.

Ośrodek zbudowano na wysokości 910 m npm, u stóp gór: Bukowel (1127 m npm), Czarna Klewa (1246 m) i Dowga (1372). Mamy tu do wyboru 54 km tras i czternaście wyciągów, głównie krzeselkowych. Dla porównania, największe ośrodki w Polsce mają zaledwie po kilkanaście kilometrów tras i nieporównywalnie skromniejszą infrastrukturę. Działają tu również specjalne wyciągi dla dzieci, także najmłodszych.

Imponujące jest tempo, w jakim rozwija się ten ośrodek, budowany (m.in. przy użyciu helikopterów) i wyposażony przez Austriaków, Szwajcarów, Włochów i Kanadyjczyków.

Bukowel od początku robi dobre wrażenie. Wszystko jest w zasięgu ręki: sklep sportowy, wypożyczalnia, szatnia, restauracje. Wystarczy wyjść z hotelu lub samochodu, przypiąć narty i ruszać na trasy. Są one bardzo dobrze przygotowane i oznakowane, wszystkie mogą być doświadczone przez armatki. Jedna trasa jest oświetlona. Tutejsza dbałość o szczegóły i utrzymanie wysokiej jakości usług jest niespotykana w innych rejonach Ukrainy.



Na miejscu działa kilka restauracji, koliby, pizzeria, fast food i night-club. W samym centrum ośrodka znajduje się hotel „Bukovel”. Składa się on z drewnianych domów z pokojami o dobrym standardzie. Ceny noclegów i żywienia, jak na ukraińskie warunki, są bardzo wysokie. Taniej będzie zatrzymać się w Jaremczy i dojeżdżać do Bukowela.

Pomysłodawcą i głównym inwestorem w Bukowelu jest Jurij Dobrowolskij. Początkowe inwestycje o wartości 125 mln dolarów umożliwiły pozyskanie specjalistów od budowy stacji narciarskich z Kanady oraz zakup nowoczesnych wyciągów w Austrii. Równoległe z budową ośrodka trwa boom inwestycyjny w pobliskich miejscowościach. Prywatni inwestorzy, często właściciele pobliskich gospodarstw, masowo budują pensjonaty i drewniane domy z apartamentami dla turystów. Chętnych do zamieszkania nie brakuje, choć ceny są

wysokie, nawet bardzo wysokie. Widzimy, więc jak w Bukowelu sprawdza się twierdzenie, że wielkie inwestycje są impulsem dla mniejszych, a turystyka może przynosić pokaźne dochody, także właścicielom kwatery, wynajmowanych turystom.

Do końca 2010 r. Dobrowolskij planuje zainwestowanie jeszcze 1 mln dolarów. Liczba wyciągów wzrośnie do 26, a długość tras – do 120 km. W ten sposób Bukowel stanie się jednym z największych ośrodków narciarskich w Europie.

Czy znajdzie się łyżka dziegciu w tej beczce miodu? Z pewnością, tak. Nie wiem, jaki wpływ ta inwestycja będzie miała na środowisko przyrodnicze. Na razie nie ma alarmujących sygnałów, ale, jak widać choćby w Karpatach, ochrona przyrody nie jest ukraińską specjalnością. Masa indywidualnych, nieskoordynowanych inwestycji spowodowała pewien chaos w krajobrazie. Można się

obawiać, czy nie będzie gorzej. Nie najlepiej wygląda sprawa komunikacji. Brakuje zarówno częstszych połączeń ze Lwowa, Iwano-Frankiwska, bezpośrednio z Bukowelem, a także tzw. skybusów, które podwoziłyby do ośrodka turystów z pobliskich miejscowości. Pod tym względem Bukowel ustępuje

nym miejscem dla narciarzy z Polski, zmęczonych już zatłoczonymi ośrodkami w kraju i na pobliskiej Słowacji. Jest on jednak wciąż mało znany, gdy w zeszłym roku ktoś zaprezentował go na forum narciarskim, zrobił duże wrażenie. Forumowicze pytali np., czy on naprawdę istnieje. Drugi problem, oprócz braku



niektórym ośrodkom w Europie Zachodniej i Środkowej. Wysokie są również ceny, zwłaszcza noclegów i żywienia, koszty karnetów narciarskich są porównywalne z najlepszymi ośrodkami narciarskimi, np. na Słowacji.

Bukowel jest typowym ośrodkiem narciarskim, nie ma, więc tego uroku, jak np. Krynica, Zakopane, czy alpejskie miejscowości. Zapewne, dlatego wielu zamożnych Ukraińców woli tam spędzać zimowe wakacje, bo jest co robić, także po nartach.

Leżący niedaleko polskiej granicy Bukowel, mógłby być bardzo atrakcyj-

informacji, to trudny dojazd, zwłaszcza przejechanie przez granicę. To wszystko odstrasza potencjalnych gości z Polski. Wiem jednak, że gospodarze myślą o Polakach, wydano np. mapki ośrodka i foldery po polsku. Sądzę, że z czasem coraz więcej Polaków będzie tu przyjeżdżało, zwłaszcza, że ośrodek rozwija się w zawrotnym tempie.

Biorąc wszystkie za i przeciw, można z pewnością powiedzieć, że np. Słowacy i Czesi mogą zazdrościć takiego ośrodka jak Bukowel, a Polacy jedynie o takim pomarzyć.

POLEMIKA

PROF. DR LESZEK MAZEPA

NIEMIECKI CZY AUSTRIACKI?

Zdaję sobie sprawę, iż tym polemicznym tekstem wkraczam w bardzo delikatną sprawę narodowościową. Lecz spróbuję to jednak jakoś wyjaśnić. Jako muzykologowi, wieloletniemu badaczowi historii kultury muzycznej Lwowa i częściowo Galicji Wschodniej, przyszło mi zapoznać się z wieloma dokumentami archiwalnymi oraz innymi materiałami źródłowymi, dotyczącymi m. in. okresu zaboru austriackiego 1772-1918. Dlatego wypowiadając się na ten temat, nie jestem absolutnym laikiem w szeregu kwestii, dotyczących historii tego wielo- etnicznego, wielo- kulturowego i wielo- wyznaniowego kraju, który jest też krajem mego i moich przodków pochodzenia.

Powyższy tytuł zasugerowany został przez niedawno przeczytany artykuł *Niemcy w Galicji Wschodniej u schyłku wieku XVIII - na początku wieku XX*, który ukazał się w „Kurjerze Galicyjskim” z 30 listopada 2007 r. Jego autorem jest Jarosław Biskiewicz, którego zaanonowano jako „zastępcę Przewodniczącego Centrum Kultury Niemieckiej obwodu lwowskiego (2001-2004)” do tegoż „wnuka poddanych Habsburgów”. Ja, jak i wielu moich jeszcze żyjących rówieśników, również jestem nie tylko wnukiem, lecz i synem byłych poddanych Habsburgów, którzy jednak nigdy nie łączyli tego rodu (i siebie) z Niemcami, lecz z przysłowiową „nieboszczką babcią Austrią”, jak to niegdyś mawiano. Owszem, od chwili zajęcia w 1772 r. przez AUSTRIĘ Lwowa i Galicji, zaczęła się totalna germanizacja wszystkich sfer życia tutejszych rdzennych mieszkańców, zwłaszcza w dziedzinie szkolnictwa,

piśmiennictwa, kultury. Od 1776 r. zaczął tu działać niemieckojęzyczny teatr austriacki, wzorujący swoją działalność na teatrach wiedeńskich, a nie, powiedzmy, berlińskich. Czasem w prasie spotykało się określenie „teatr niemiecki” lub „scena niemiecka”. Ale dotyczyło to wyłącznie języka, w którym grano sztuki, bo przecież sami artyści byli w absolutnej większości Austriakami, a nie Niemcami, których łączyła i nadal łączy wspólnota językowa od IX wieku. Wychodziły we Lwowie również czasopisma niemieckojęzyczne, np. „Lemberger Zeitung”, „Mnemosyne”, „Leseblätter” i in. Ale były to pisma wybitnie austriackie, chociaż wydawane w języku niemieckim, którym posługiwano się w Austrii (również i obecnie!!!).

J. Biskiewicz zaczyna swój tekst informacją, że *Imperium Austriackie (...) ograniczało się do rejestracji i podawania danych statystycznych, dotyczących wspólnot narodowych i wyznaniowych. Władza polska (nie podaje jednak okresu) i sowiecka miały negatywne podejście do tych procesów. I tyle? Cóż to za porównanie i zrównanie władzy polskiej i sowieckiej?! A poza tym: przecież enigmatyczne „władze polskie” w sposób oczywisty negatywnie odnosiły się nie do jakichś tam procesów, lecz do austriackich zaborców, okupantów tego kraju, którzy w gwałtem wprowadzali procesy niemiecczenia, germanizacji przede wszystkim polskiej, lecz także ukraińskiej i żydowskiej ludności. I na tym polegało sedno negatywnego ustosunkowania się władz przede wszystkim – samorządowych, bo przecież przed 1919 rokiem państwowe polskie nie istniały.*

Autor stale pisze o Niemcach w Galicji (co jest zrozumiałe), zapominając jednak o Austriakach, podając statystykę za lata 1782-86 i 1802-03. Oczywiście, że wśród niemieckojęzycznych osadników (wśród których byli wówczas również i Czesi, i Węgrzy i in. urzędnicy austriaccy) było także немало etnicznych Niemców, którzy utworzyli szereg kolonii – wsi o niemieckich nazwach. Owszem, odznaczali się oni wieloma zaletami gospodarczymi, organizacyjnymi i in., zaprowadzali postępowy typ gospodarzenia. Zapomniał jednak autor napisać, że w samym Lwowie od zarania jego dziejów było sporo Niemców (chyba etnicznych), którzy zajmowali pierwotnie dość znaczącą pozycję na szczeblach miejskiej struktury i którzy odegrali pozytywną rolę w rozwoju miasta. (Na marginesie podam, że spotkałem się z publikacjami – zwłaszcza z okresu okupacji niemieckiej 1941-44, w których twierdziło się, iż Lwów założyli Niemcy i jest to miasto rdzennie niemieckie...). Pisze natomiast o masowej kolonizacji niemieckiej Galicji jak o czymś niezwykle pozytywnym, nie zdając sobie chyba sprawy, że procesy te były odbierane przez rdzenną ludność polską i ukraińską przeważnie wrogę – z wyżej wymienionych względów. Pisze o patentach osiedleńczych cesarzy niemieckich, stale mając na myśli Niemców. Czy przypadkiem nie jest to podmiana pojęć „niemieckojęzycznych” na ludzi o etnicznie niemieckim pochodzeniu? Czy cesarze austriaccy zawierali jakiegoś układy między państwowe z ówczesnym cesarstwem Niemieckim (Prusami, Bawarią, Saksonią, Brandenburgią, Nadrenią,

Palatynatem, Szwabią i in. „Landami”) o przesiedleniu swych poddanych do Galicji? Jeżeli wówczas mniejszość osadników była niemieckimi protestantami, to czy katolików, którzy stanowili wówczas większość nie należy uważać za Austriaków lub – częściowo – za austriackich Niemców (tak jak to jest na przykład z polskimi Ukraińcami czy ukraińskimi Polakami itp.)? Czy nie można tu zrobić jakiegoś porównania z obecnym szerokokontrowym pojęciem «русскоязычные» w stosunku do części Ukraińców i in. narodowości b. imperium sowieckiego? Pytania się mnożą. Odpowiedzi jednak nie mogą być jednoznaczne.

Autor tego wybitnie germanofilskiego artykułu, podając się za „wnuka poddanych Habsburgów”, chciał tym samym zasugerować nam, iż również Habsburgowie byli Niemcami. Chyba ktoś z ich potomków (np. żyjąca w polskim Żywcu [tym od znakomitego piwa...] księżna Habsburg), jak też rodowici Austriacy mieli by do tego twierdzenia spore zastrzeżenia, ponieważ dynastia habsburgsko-lotaryńska, faktycznie pochodząca z linii niemieckiej od 1379 r. władała m. in. Austrią, zaś linia habsburgsko-lotaryńska panowała w Austrii w ll. 1765-1867, a od 1867 do 1918 – władała Austrią, Węgrami, Czechami i Galicją. Więc ani autor, ani ja, ani wielu jeszcze żyjących wnuków poddanych Habsburgów niczego wspólnego nie mieliśmy i nie mamy z Niemcami jako państwem i nacją. Jedynym wspólnym mianownikiem był język niemiecki, używany zresztą nie tylko przez etnicznych Niemców (np. w Luksenburgu, Szwajcarii, Lichtensteinie).

Śmiem twierdzić, iż omawiany artykuł ma przewrotny charakter oraz cechy naginania pewnych nieprawdziwych faktów do wydumanej teorii, która przeczy, mówiąc po ukraińsku, здоровому глуздови. Przewrotność ta polega na zamianie (świadomej?, nieświadomej?) pojęć, związanych z językiem niemieckim. Był on powszechnie (bo poprzez narzuconą „z góry” oficjalną politykę germanizacji wszystkich sfer życia publicznego) używanym w okresie zaboru austriackiego, zwłaszcza w pierwszych jego dziesięcioleciach nie tylko przez Austriaków i Niemców, oraz przyjeżdżnych Czechów, Węgrów, Słoweńców i in., lecz również „miejscowych” urzędników (Polaków, Rusinów-Ukraińców). Bo nie ma języka „austriackiego”, jak nie ma „amerykańskiego”. Był to i nadal jest ogólnie używany język zarówno w Austrii oraz w różnych „Landach” niemieckich oraz w części Szwajcarii i in. mniejszych krajach.

„Przejdźmy” się po jego poszczególnych akapitach. *Imperium Austriackie, które sprowadziło Niemców... Ależ ono „wprowadziło” przede wszystkim etnicznych Austriaków, a także Niemców, Czechów, Węgrów i in. Znaczenie kolonii niemieckich... Autor hiperbolizuje. Przecież kolonie te w Galicji Wschodniej istniały wyłącznie w formie nielicznych wiosek. W miastach były to nieliczne, chociaż cieszące się wszelkimi uprzywilejowaniami grupy, które z biegiem czasu – już w pierwszej połowie XIX w. zaczęły się w znacznym stopniu „polonizować”. I to nie dzięki jakiegos polityce państwowej, lecz w sposób naturalny – poprzez*

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

ZABYTEK W SKALI NARODOWEJ

Każdy, podróżujący w kierunku Lwowa czy Rawy Ruskiej, zwraca uwagę na prastary kościół św. Mikołaja w centrum miasteczka Kulików. Dziekan żółkiewski ks. Bazyli Pawełko nie przestaje podkreślać, że jest to zabytek w skali narodowej. Parafia obrządku łacińskiego w Kulikowie została założona jeszcze w 1399 roku przez metropolitę halickiego Jakuba Strzemię. Fundatorem pierwszego kościoła pw. Trójcy Przenajświętszej był Mikołaj z Kulikowa. W 1538 roku kasztelan

ponieważ wszyscy Polacy wyjechali stąd po II wojnie światowej. Jednak, zgłosiła się grupa inicjatywna, która poprowadziła odrodzenie wspólnoty Kościoła Rzymskokatolickiego i zwróciła się do władz miejscowych o zwrot świątyni. Przypominam, jak zadzwonił do mnie ks. Bazyli Pawełko i powiedział, że w kulikowskim kościele ma być metropolita lwowski ks. Kardynał Marian Jaworski. W środku było zimno i ciemno, tylko jedna lampka oświetlała pustkę: widać było zniszczony ołtarz główny,



Powitanie arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego

przemyski Mikołaj Gerbut-Odnowski wznosił tutaj kościół św. Mikołaja w stylu gotyckim. O historii jednej z najdawniejszych świątyni Archidiecezji Lwowskiej można się dowiedzieć z nowego kalendarza na 2008 rok, który ks. Bazyli Pawełko prezentował podczas tegorocznego odpustu. Na zdjęciach widać przemiany z okresu XXI wieku.

Przez jakiś czas wydawało się, że w Kulikowie nie ma rzymokatolików,

dookoła grzy. „Eminencjo, czy będziemy modlić się w tym naszym kościele? – ze łzami zapytywały kobiety. – Przecież pamiętamy, jaki on był piękny.” Ks. kardynał uspokoił wiernych i zapewnił, że na pewno tutaj będzie odprawiana Msza św., ponieważ jest to Dom Boży, chociaż i zniszczony. 17 kwietnia 2001 roku metropolita lwowski kardynał Marian Jaworski przewodniczył Liturgii, a 7 września 2002 roku biskup pomocniczy lwowski Leon

zawarcie związków matrymonialnych z miejscowymi Polakami. I w ten sposób zaprogramowana przez Wiedzę polityka totalnej germanizacji poniosła smrotne fiasko. Oczywiście, część byłych kolonistów niemieckich zachowała swą tożsamość narodową, za co należy się jej uznanie, zwłaszcza ich ziomeków z państwa niemieckiego.

Niemcy przybywali tu z terenów wschodnich kraju: Pfalzu, Württembergu, Badenu i Bawarii. Tym zdaniem znowu autor sugeruje, że krajem, który zapanował od końca XVIII w. była nie Austria, lecz Niemcy. Co zaś ma oznaczać twierdzenie, iż *Niemcy osiedlili się w tradycyjnych* (pogrubienie moje – L. M.) *miejsowościach, takich jak: Lwów, Sambor, Rożniaów, Nadwórna, Kosów, Stanisławów, Jaworów, Bolechów, Żółkiew, Brody i in.?* Jakże tradycje ma tutaj na myśli? Znowu niemieckie? I dalej: *W pierwszej połowie XIX w. Niemcy mieli w swych rękach władzę polityczną, gospodarczą i kulturalną, a wszelkie przekształcenia władza austriacka czyniła w owym czasie ich rękoma.* Jest to oczywiście zafalszowanie ówczesnej rzeczywistości, nadinterpretacja rzeczywistego stanu rzeczy, naginanie faktów do własnego germanofilskiego punktu widzenia, nie mającego swego oparcia o materiały dokumentalne oraz w literaturze przedmiotu. Cały czas sugeruje się czytelnikowi, że nie Austriacy tu dominowali, lecz Niemcy. Również w takim zdaniu: *Począwszy od roku 1860 Niemcy zaczęli tracić władzę* (no niechby choć raz podał autentyczny fakt, że to oni ją mieli – L. M.). *Urzednicy niemieccy* (innych, bodajże – austriackich – nie było?) *wyjeżdżali (...) a władzę w kraju dzieliły żydowskie,*

polskie i ukraińskie siły polityczne. Dziwnie zaskakujący jest ten porządek wymienienia narodowości...

W omawianym artykule nie brak też szeregu błędnie podanych lub interpretowanych nazw niemieckich. Wśród przeze mnie zauważonych np. nazwa „Wartegau” nie dotyczy miejscowości, lecz „Kraju Warty” – z Łodzią, Kaliszem i in. miejscowościami okupowanej przez Niemców w latach 1939-44. Polski. Jest to błąd autora. Getingen: niewłaściwie podana nazwa miasta Gettingen lub Göttingen, jak też miejscowości Bruckenthal (a nie Bruckental), Wiesenberg (Wisenberg), Eisigen (Aisigen), Königsau (Kenigsau), Einsiedel (Einsidel), Württemberg (Wurtenberg), nazwiska F. Kratter (Krater), E. Müller (Miuller). Ale to już niedopatrznie Redakcji...

Oczywiście swoimi uwagami wcale nie zaprzeczam istnienie etnicznych Niemców oraz (wiejskich!) niemieckich kolonii na terenie Galicji, jak też ich znacznego wkładu w rozwój, zwłaszcza gospodarczy, zarówno poszczególnych miejscowości (przeważnie wiejski), jak też wielu obszarów tego kraju. Nie należy je jednak przeceniać. Nie zasługują one również na gloryfikację. Bowiem w świadomości miejscowej rdzennej – ukraińskiej (rusińskiej), prawdopodobnie też żydowskiej, ormiańskiej i – przede wszystkim – polskiej ludności zarówno Austriacy, jak i Niemcy, wraz całym ich aparatem państwowym, gospodarczym, oświatowym, kulturowym i in. odbierani byli – w najlepszym razie – jako element obcy, a w pierwszym rzędzie – jako zaborcy, którzy zupełnie świadomie i celowo zahamowali rozwój dążeń narodowych (w różnej ich postaci) rdzennej ludności.



Kościół św. Mikołaja w Kulikowie

Mały dokonał ponownego poświęcenia kościoła. Było to wielkim wydarzeniem dla całego miasteczka i okolicznych wiosek. Przyszli z procesją i proboszczem na czele wierni Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, prawosławni też. Każdy modlił się w języku ojczystym, po polsku i po ukraińsku.

Olga Karyta mówi, że jest tu od samego początku, jak był otwarty kościół: „Tutaj blisko mieszkam. Chodziłam do tego kościoła jeszcze przed wojną, jak była Polska. Pamiętam, gdzie była dzwonnica, figura. Obecnie na Mszę św. przychodzą ci, którzy mają polskie korzenie, jak również wierni z rodzin mieszanych. Są dzieci, które katechizują siostry dominikanki z Żółkwi. Ks. Bazyli stara się, aby ładnie odnowić nasz kościół, ponieważ to jest oblicze Kulikowa. Teraz przyszedł ze swoim prawnuczkim Oleżkiem. Mamy dzisiaj odpust, św. Mikołaj przyszedł. Bardzo cieszymy się, że przyjechał do nas nowy lwowski arcybiskup Mieczysław.”

Arcybiskup koadiutor lwowski Mieczysław Mokrzycki przewodniczył Mszy św. i wygłosił homilię. Relikwie św. Mikołaja znajdują się obecnie we Włoszech w mieście Bari. Zostały one tam przewiezione przez kupców włoskich w 1087 roku i cieszy się ten kościół, relikwie i kult św. Mikołaja wielką czcią.

w przyszłości, jeśli się zmienia warunki, sytuacja ekonomiczna naszego kraju, także wielu z was będzie miało szansę, będzie miało tę łaskę, aby udać się z pielgrzymką do jego grobu. Dlatego w trudnych naszych sytuacjach życiowych, finansowych uciekamy się także do niego z prośbą, aby wspierał nas swoimi łaskami, by pomagał nam rozwiązać wszystkie nasze trudności.”

Ks. arcybiskup Mieczysław Mokrzycki podziękował księżom i wiernym z Kościołów Rzymskokatolickiego, Grekokatolickiego i Prawosławnego za wspólną modlitwę. „Ojców z Kościoła Wschodniego nie mogło dzisiaj zabrak-



Jerzy Sobala

nać, - zauważył hierarcha. – Św. Mikołaj cieszy się wielką czcią w sposób szczególny w Kościele na Wschodzie. Dlatego my razem z nimi właśnie czcimy go dzisiaj, oddajemy mu cześć i wspólnie się do niego modlimy”. Arcybiskup koadiutor przekazał zebrany w kościele kulikowskim pozdrowienia i błogosławieństwo Ojca Świętego Benedykta XVI i Metropolity Lwowskiego kardynała Mariana Jaworskiego.



Podczas Mszy św. odpustowej

„Przybywają tam nie tylko Włosi, - zaznaczył kaznodzieja. - Przybywają pielgrzymi z całego świata, a w sposób szczególny – pielgrzymi ze Wschodu. Bardzo dużo przyjeżdża tam także Rosjan. Przyjeżdża tam dużo wiernych obrządku prawosławnego, dla których św. Mikołaj jest wielkim patronem, któremu oddają wielką cześć. Myślę, że

Po zakończeniu Mszy św. odpustowej ks. Bazyli Pawełko mówił o przeprowadzonych remontach kościoła. Może do maja następnego roku uda się skończyć oraz wzniesić ogrodzenie dookoła świątyni. Dziękował ks. arcybiskupowi Mieczysławowi za obecność, Liturgię, wspólną modlitwę, która, zdaniem kapłana, pomoże parafianom pokonać wszystkie trudności oraz zmobilizuje ich do dalszej pracy. Osobno ks. Bazyli złożył podziękowanie ofiarodawcom.

Jednym z takich dobroczyńców jest Jerzy Sobala, dyrektor generalny cementowni w Mikołajowie nad Dniestrem, który powiedział dla „Kuriera Galicyjskiego”: „Tak się złożyło, że pomagam przez całą moją pracę zawodową, ponieważ jestem związany z budownictwem. Pracowałem w kilku cementowniach w Polsce i zawsze kościoły, który znajdowały się w pobliżu, potrzebowały albo odbudowy, albo remontów. Tak się złożyło, że jestem tu na kontrakcie cztery lata na Ukrainie i również jest moją misją, żeby przy okazji tego biznesu cementowego również pomagać w odbudowie i budowie kościołów tutaj na Ukrainie.”

REKLAMA DLA PRZYJACIÓŁ

„SLAVICA”
Słowiańska Księgarnia Wysyłkowa

ZAPRASZAMY
do Centrum Kultury Słowiańskiej
ul. Gagarina 15
00-753 Warszawa
Księgarnia Czytelnia
Wieczory Słowiańskie
Tel.: +48228513966

Tu można również przeczytać
i zaprenumerować „Kurier Galicyjski”

Bukowińskie kołędowanie rodzin w Zawadzie

JAN SOSNOWSKI

*Dobrze jest dziękować Panu
I opiewać imię Twe, o Najwyższy,
Obwieszczać z rana łaskę Twoją.
A w nocy wierność Twoją,
Na lutni o dziesięciu strunach
I na harfie przy dźwięku cytry.
Księga Psalmów /Ps 92,2-5/
Dziękczynienie za dobrotliwe
rządy Boże*

Bukowińskie Kołędowania są społeczną inicjatywą drugiego pokolenia górali czadeckich, urodzonych w regionie lubuskim. Pomysł nawiązuje do tradycji obchodzenia świąt Bożego Narodzenia przez Bukowiczaków. Tak, jak niegdyś w okresie bożonarodzeniowym górale czadecy, żyjąc na Bukowinie, odwiedzali swoich bliskich z kołędą na ustach, tak i dzisiaj chcą wędrować z kołędowaniem do Bukowiczaków, rozproszonych po ziemi lubuskiej, Dolnym Śląsku i ziemi pilskiej.

Mimo że wiele lat już minęło od repatriacji Polaków, żyjących na Bukowinie, to jak dawniej tradycje wciąż żyją dzięki rodzinnej więzi, przyjaźni i wierze. Tradycja rodziny – takiej prawdziwej, normalnej, trzymającej się razem, ale jednocześnie otwartej dla innych, jest wielką siłą górali czadeckich.

Pomysłodawcą i głównym propagatorem Bukowińskiego Kołędowania jest Mirosław Delost (nauczyciel historii, potomek Bukowiczaków, mieszkaniec Żagania) przy wsparciu ks. Michała Zielonki - będącego od 21 lat kapłanem górali czadeckich, a od 8 lat proboszczem parafii p.w. Narodzenia NMP w Zawadzie. Idea Bukowińskiego Kołędowania ma na celu integrację środowiska polskich Bukowiczaków oraz pielęgnację i zaszczerpienie tradycji kołędowania wśród kolejnych młodych pokoleń.

Każde z Bukowińskich Kołędowań składa się z dwóch części: Mszy Świętej i wspólnego kołędowania. W liturgii aktywnie uczestniczą zespoły bukowińskie, składając na ołtarzu dary, śpiewając psalmy, czytają Pismo Święte oraz modlitwę wiemych, a całość uświetniają muzyką zgromadzonych góralskich kapel. Wspólne kołędowanie natomiast rozpoczyna się dzieleniem opłatkiem, wprowadzie bez miodu i czosnku, jak to dawniej na Bukowinie



Zespół Górali Czadeckich „Jodelki” z Żagania z J. E. ks. bp dr Adamem Dyczkowskim i byłym Marszałkiem Sejmu RP Józefem Zychem oraz ks. Michałem Zielonką



J.E. ks. bp dr Adam Dyczkowski podpala watrę

bywało, ale przecież szczerze i serdecznie. Potem zespoły śpiewają kołędy bukowińskie, w większości już zapomniane, oraz te bardziej popularne zazwyczaj razem ze wszystkimi zebranymi. Do tego spotkania, wzruszenia, rozmowy...

A teraz trochę historii...

I Bukowińskie Kołędowanie odbyło się 27 stycznia 2006 roku w Żaganiu i upamiętniało sześćdziesiąt rocznicę przybycia pierwszych rodzin górali czadeckich z Bukowiny na ziemię żagańską. Podczas Mszy Świętej w kościele p.w. Nawiedzenia NMP w Żaganiu odsłonięto tablicę pamiątkową, po czym

udano się do Żagańskiego Pałacu, gdzie dalej kołędowano. Były występy zespołów i nieśmiałe próby wspólnego śpiewu. Zapadła też wtedy decyzja o ponowieniu kołędowania za rok. I tak wspólnie podjęto decyzję o kołędowaniu, może nie jak to na wsi bywało od domu do domu, bo i zespołów dużo, i ludzi mrowie - ale od parafii do parafii... Padła też propozycja, by sąsiedzi parafianie kołędowali razem z Góralami...

II Bukowińskie Kołędowanie zorganizowane zostało w Gozdniczy i przebiegało pod hasłem „Po kołędzie u księdza Marka”. Mszę Świętą odprawiono w kościele parafialnym p.w. św. Wawrzyńca w Gozdniczy, po czym odbyło się

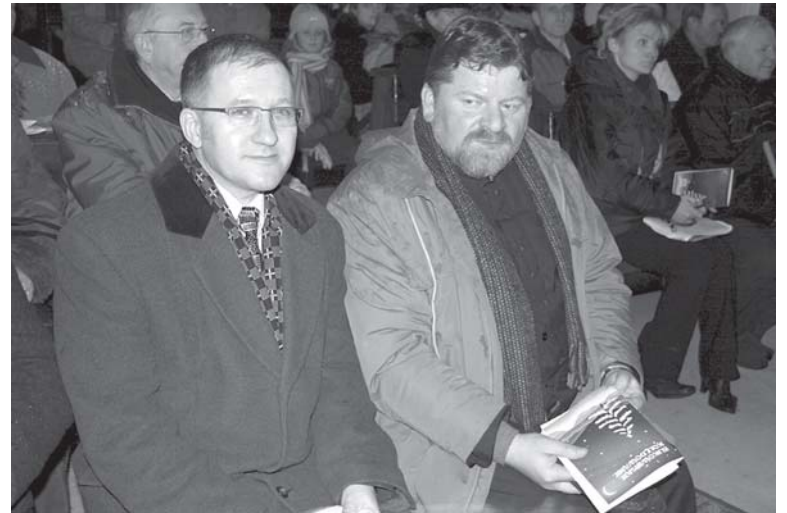
„Wspólne Kołędowanie” w gozdnickim Domu Kultury.

III Bukowińskie Kołędowanie - pod hasłem „Kołędowanie rodzin” zorganizowano w niedzielę 6 stycznia 2008 r., w Święto Objawienia Pańskiego w kościele parafialnym p.w. Narodzenia NMP w Zawadzie k./Zielonej Góry.

Msza Święta podczas uroczystości kościelnych koncelebrowana była pod przewodnictwem J.E. ks. bpa dra Adama

oraz Zarządu Wojewódzkiego PSL Województwa Lubuskiego, z byłym Marszałkiem Sejmu RP Józefem Zychem na czele. Wśród wielu licznie przybyłych gości samorządowych, lokalnych działaczy i organizatorów z Żagania i Zawady, kolejny raz w kołędowaniu uczestniczył starosta Powiatu Żagańskiego Jerzy Bielawski.

W III Bukowińskim Kołędowaniu uczestniczyły: Zespół Śpiewaczy



Starosta Powiatu Żagańskiego Jerzy Bielawski oraz ks. Marek Chociej z Gozdnic

Dyczkowskiego w intencji dziękczynnej za 60 lat pobytu górali czadeckich w Diecezji Zielonogórsko - Gorzowskiej oraz na ziemi dolnośląskiej i wielkopolskiej. We Mszy aktywny udział wzięli Górale Czadecy w strojach ludowych, a całość dopełnili muzyką zgromadzonych tu góralskich kapel pod kierunkiem Tadeusza Drozdka i Krzysztofa Buganika.

W dalszej części w trakcie spotkania przy wotrze odśpiewano „Buki moje, Buki”, po czym podzielono się opłatkiem, złożono życzenia i udano się na wspólne kołędowanie do kościoła.

Zanim zaprezentowano góralskie zespoły w repertuarze kołędniczo - pastoralkalnym, odbyła się promocja dwóch tomów cyklu książkowego pt. „Uroki Bukowiny”, autorstwa pruszkowianina Wojciecha Krysińskiego, wydanych nakładem Żagańskiej Oficyny Wydawniczej DEKORGRAF.

III Bukowińskie Kołędowanie odbyło się pod honorowym patronatem Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego, Starostwa Powiatowego w Zielonej Górze, Gminy Zielona Góra

„Niespodzianka” z Zawady, Zespół Pieśni i Tańca Górali Czadeckich „Pojana” z Piławy Dolnej, Chór „Echo Bukowiny” z Lubania, Zespół Górali Czadeckich „Jodelki” z Żagania, Zespół Górali Czadeckich „Wichowianki” z Wichowa, Zespół Pieśni i Tańca Górali Czadeckich „ródelko” z Wichowa, Zespół „Rosa” z Dragowiny, Kapela Rodzinna „Buganików” z Karczówki, Zespół „Serce Bukowiny” z Nowogrodu Bobrzańskiego, Zespół Górali Czadeckich „Dolina Nowego Sokoła” ze Złotnika, Zespół Rodzinny Rybczyńskich i Słupskich z Zawady oraz Zespół Cygański „Vanessa & Sorba” z Zawady. Niestety, w ostatnim momencie ze względu na trudne warunki drogowe oraz gołoledź, Zespół Obrzędowy Górali Czadeckich „Jastrowiaczy” z Jastrowia musiał odwołać swój przyjazd. Ogółem w zawodzkiej imprezie uczestniczyło ponad 500 osób, dla których nie zabrakło ciepłej strawy, duchowego wsparcia i życzliwego słowa.

Kolejne Bukowińskie Kołędowanie już za rok.

Komunikat SPZD Koło Śląskie w Bytomiu

NA „KRESOWYCH SPOTKANIACH OPŁATKOWYCH” W DROHOBYCZU

ALICJA BRZAN-KŁOŚ

Uprzejmie informujemy, że delegacja Koła Śląskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej w Bytomiu przebywała w dniach od 26 do 30 grudnia 2007 r. w Drohobyczu na „Kresowych Spotkaniach Opłatkowych” z młodzieżą, biorącą udział w letnich olimpiadach języka polskiego, wychowankami drohobyckiego domu dziecka, młodzieżą Szkoły Ogólnokształcącej nr 24 z polskim językiem wykładowym we Lwowie, działaczami drohobyckiego oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, a także Polakami,



skupionymi wokół Federacji Organizacji Polonijnych na Ukrainie „Zgoda” i podopiecznymi Stacji Caritas Ojców Bonifratrów w Drohobyczu.

Program pobytu, obok wymienionych powyżej spotkań, obejmował zwiedzanie Ziemi Drohobyckiej (Drohobycz, Truskawiec, Borysław) oraz



stawili Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie w dniu 29 grudnia ub. roku i było połączone z występami artystycznymi młodzieżowego zespołu folklorystycznego z Rudy Śląskiej oraz bytomskiego kabaretu kresowego „Paka Ryca”, które wzbudziły prawdziwy aplauz ze strony uczestników spotkania. Bardzo podobał się również koncert tradycyjnych kołęd i pastoralek w wykonaniu przybyłych ze Śląska artystów, który miał miejsce 30 grudnia 2007 r. podczas uroczystej Mszy św. w zabytkowym kościele św. Bartłomieja w Drohobyczu.

Nasi Rodacy na Kresach otrzymali świąteczne dary i upominki oraz serdecznie podziękowali naszemu Stowarzyszeniu za przekazanie 4 tysięcy zniczy, które zapłonęły 1 listopada 2007 r. na starym drohobyckim cmentarzu i stanowiły dowód naszej wspólnej, pamięci historycznej.

całodzienny pobyt we Lwowie, w tym zwiedzanie zabytków miasta i złożenie kwiatów na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Główne spotkanie opłatkowe z Polakami, zamieszkałymi na Ziemi Drohobyckiej odbyło się z udziałem przed-

BOŻE NARODZENIE WE LWOWIE

KONSTANTY CZAWAGA tekst
KS. MARIAN SKOWYRA zdjęcia

„Jestem głęboko przekonany, że święta Bożego Narodzenia łączą nas wszystkich” – podkreślił w homilii Metropolita Lwowski kardynał Marian Jaworski, który odprawił Pasterkę w Katedrze Lwowskiej, gdzie zgromadzili się Polacy, jak również małżeństwa mieszcane oraz grekokatolicy, przedstawiciele władz miejscowych i konsulatu generalnego RP we Lwowie.

Ks. kardynał Jaworski powiedział, że, chociaż wierni obrządku wschodniego będą obchodzić święta Bożego Narodzenia dopiero za dwa tygodnie, „wszyscy dzisiaj razem obchodzimy największe święto naszego chrześcijaństwa – narodzenie Pana Jezusa.” Metropolita Lwowski wezwał wiernych, aby przeżywali ten okres świąteczny w duchu wiary, we wspólnej modlitwie, a nie tylko ucztowali w gospodach. Po zakończeniu Pasterki życzenia rzymskokatolikom złożył grekokatolicki arcybiskup lwowski Igor Woźniak, wojewoda lwowski Petro Olijnyk, mer miasta Lwowa Andrij Sadowyj i ambasador Wiesław Osuchowski, Konsul Generalny RP we Lwowie, który powiedział: „Ten dzień jest dniem wyjątkowym. Eminencja powiedział o radości. Tak, to dzień ogromnej radości, tak wyjątkowej dla nas Polaków. To przecież dzisiaj na



Ks. kard Marian Jaworski odprawił Pasterkę i wygłosił kazanie w Katedrze Lwowskiej

całym świecie: w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, ale również w Polsce wypełniają się świątynie wiernymi, bo przecież tak jest w naszej tradycji, w tradycji naszych pradziadów, dziadów i ojców.” Polski dyplomata podkreślił, że obchodzimy teraz święta Bożego Narodzenia w innych, bardzo znamienitych czasach, bo przecież „dwa narody – polski i ukraiński są dzisiaj narodami

wolnymi. To pierwszy raz w historii nie przemykamy bocznymi drzwiami, ale do naszych świątyni wchodzimy przez wejście główne.”

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia uroczystą Mszę św. we Lwowskiej bazylice metropolitalnej odprawił arcybiskup koadiutor Mieczysław Mokrzycki, który w swoim kazaniu wezwał wiernych do pogłębienia wiedzy duchowej. „Jak jednak można

być chrześcijaninem, kiedy się nie wie, kim właściwie był Chrystus, czego nauczał, co czynił i jakie wymagania postawił swoim naśladowcom? – zapytywał hierarcha. – Jak bez znajomości Chrystusa słowo Boże może stać się ciałem w naszym życiu? Nieznajomość Pisma Świętego jest nieznajomością

dzisiaj wypowiada Bóg swoje słowo do człowieka. Także dzisiaj chce, aby Jego słowo stało się ciałem. Czyż nie dzieje się tak, kiedy chrześcijanie kształtują wedle Słowa Bożego swoje życie?”

Biskup pomocniczy Leon Mały przewodniczył uroczystościom Bożonarodzeniowym w parafii św. Marii Mag-



Kard Marian Jaworski i wojewoda lwowski Petro Olijnyk

Chrystusa – powiedział św. Hieronim. I trzeba przyznać mu rację! Na ile sposobów przemawia do nas Bóg: przez stworzenie, przez każdą sprawowaną liturgię, przez głos naszego sumienia, przez nasze myśli i uczucia... Także

daleny, gdzie kościół jeszcze nie oddano wiernym, znajduje się tam sala muzyki organowej. W lwowskim sanktuarium św. Antoniego, gdzie posługują franciszkanie konwentualni, odbyła się Wigilia dla ubogich Lwowa.

Szopka w Winnicy – największa na Ukrainie

KONSTANTY CZAWAGA tekst i zdjęcie

Zdaniem ukraińskich środków masowego przekazu, największą szopkę na Ukrainie ustawiono w kościele pw. Matki Bożej Anielskiej w centrum miasta Winnicy. Od świąt Bożego Narodzenia pielgrzymują do tej świątyni nie tylko katolicy dwóch obrządków, a i prawosławni, protestanci, przychodzą też osoby z rodzin niewierzących na Podolu.

Ojciec kapucyn Justyn Rusin, który odprawia w tym kościele, powiedział dla „Kuriera Galicyjskiego”: „Mamy pewne doświadczenie i widzieliśmy wiele takich rzeczy w Polsce, przecież tam wychowywaliśmy się i właśnie w bernardyńskich kościołach, franciszkańskich tam nad głównym ołtarzem są wielkie szopki. Pomyśleliśmy, a dlaczego by nie zrobić czegoś takiego na Ukrainie, u nas w Winnicy na Podolu. Pojechalśmy do Polski, a gdzież jechać po figurki? Tylko deski i choinki, dekoracje są miejscowe, z ukraińskiego lasu. I tak, że jest to trochę międzynarodowa szopka – polsko-ukraińska: stoi nad ołtarzem i budzi powszechne zdziwienie, a także zainteresowanie mediów. Przychodzą tutaj też grekokatolicy, prawosławni, protestanci. Przychodzą i patrzą, a ponieważ jest iluminacja, jest ładnie oświetlone tabernakulum, nie tylko szopka, więc pytają: aco jest w tej złotej szopce? Możemy też robić trochę katechezy i tłumaczyć o kulcie Eucharystii w Kościele Katolickim. Ta szopka pozostanie w kościele do święta Ofiarowania Pańskiego”.

Obecnie w tym winnickim kościele można usłyszeć kolędy po polsku, po



ukraińsku oraz po francusku, w innych językach, ponieważ część parafian – to studenci z Afryki i Ameryki Łacińskiej. Już trzeci rok z rzędu na początku stycznia w świątyni został zorganizowany wielki koncert kolęd trzech kontynentów. Ks. Justyn Rusin OFMCap powiedział, że każdy z tych obcokrajowców przygotował po dwie-trzy kolędy ze swoich stron ojczystych.

Zkalendarzy oraz wydanych książek, które można tutaj nabyć, wszyscy mogą się dowiedzieć, że w tym roku bracia kapucyni obchodzą 300-lecie obecności na Ukrainie. W Winnicy kapucyni osiedlili się w 1745 roku. Ten klasztor

był ważnym ośrodkiem duchowości Polaków na Podolu, jak również działalności patriotycznej. Ze źródeł historycznych dowiadujemy się, że w dniu 3 kwietnia 1861 roku w kościele Najświętszej Panny Anielskiej odprawiono nabożeństwo za poległych w Warszawie od kul moskiewskich. Wielokrotnie nabożeństwa patriotyczne kończono śpiewem *Boże, coś Polskę*. W 1888 roku konwent został zniesiony na mocy ukazu caratu rosyjskiego. Świątynia pełniła funkcję kościoła parafialnego do 1931 roku, po czym została zamknięta decyzją

władz sowieckich. Podczas II wojny światowej kościół dzięki kapelanom wojskowym przywrócono do kultu. Po wojnie reżim komunistyczny zamknął świątynię. Wiernym udało się odzyskać swój kościół w 1948 roku i modlić się tam do 1960 roku. Po śmierci proboszcza ks. Marceliego Wysokińskiego kościół był zamknięty przez władze i przeznaczony na obiekt „kulturalny”, później siedzibę Towarzystwa „Znannia”. Dopiero 7 lipca 1990 roku kościół kapucynów w Winnicy zwrócono wspólnie rzymskokatolickiej, a jesienią 1992 roku powrócili do niej bracia kapucyni.

SPOTKANIE OPŁATKOWE KOMBATANTÓW



27 grudnia ubiegłego roku członkowie Organizacji Lwowskich Kombatantów wojny 1939 – 1945 r. i Osób Represjonowanych zebrali się w siedzibie centrum medyczno-socjalnego lwowskiego Czerwonego Krzyża przy ul. Lepkogo na spotkanie opłatkowe. Uroczystość uświetnił swoją obecnością o. Grzegorz Cymbała, franciszkanin z Sanktuarium św. Antoniego.

Spotkanie organizowała prezes organizacji pani Stanisława Kalenowa, która przywitała obecnych i krótko zapoznała z tradycją obchodów Świąt Bożego Narodzenia. Następnie o. Grzegorz poświęcił

opłatki, życzył obecnym zdrowia i wielu łask Bożych. Modlitwą i chwilą ciszy uczczono pamięć tych, którzy odeszli na wieczną wartę. Następnie dzielono się opłatkami, śpiewaliśmy kolędy, życząc sobie wzajemnie dużo zdrowia, szczęścia, radości, dobroci od ludzi, promieniejącej pogody ducha oraz niosącego pokój błogosławieństwa Bożej Dzieciny.

Przy herbacie, kawie i słodyczkach było miło, przytulnie i prawie rodzinnie.

BOGUSŁAWA CZERNA

JAKIE MUZEA SĄ NAM POTRZEBNE?



JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Lwów – to miasto muzeów. Lecz kto je odwiedza? Tylko turyści czy też mieszkańcy naszego miasta? Czy są w salach muzealnych tłumy ludzi, czy świecą one pustkami? Pracownicy muzeów stawiają przed sobą jeszcze inne pytanie, co zrobić, aby ludzie chodzili do muzeów? Odpowiedź na to pytanie chciała znaleźć także dr Wita Susak.

W tym celu we Lwowskiej Galerii Sztuki została zorganizowana bardzo niezwykła wystawa „Reanimacja” lub „Animacja”. Organizatorami wystawy „Reanimacja” były: Lwowska Galeria Sztuki, Rada Miejska, Fundacja im. Dymitra Szelesta we Lwowie i Instytut Polski w Kijowie. Odbываła się w dniach 1-20 grudnia 2007 r. Kuratorem i autorem idei była dr Wita Susak, kierownik działu sztuki europejskiej XIX – XXI w. we lwowskiej galerii. Ze strony polskiej – Dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie, pan Jerzy Onuch.



Dr Wita Susak – kierownik działu sztuki europejskiej XIX-XXI w. we lwowskiej galerii

W przedmowie do folderu o tej niezwykłej ekspozycji dr W. Susak pisze: „Reanimacja – to aktywizacja działalności galerii jako zakładu kulturalnego. Galeria – to nie jest tylko prestiżowe schronisko dzieł sztuki, ale również kreatywna przestrzeń dla możliwych spotkań współczesnych malarzy z mistrzami minionych wieków. Takie spotkania nadają wielki potencjał dla eksperymentów twórczych i dalszego rozwoju, pytają o stanowisko i stosunek do oryginału w czasach masowego reprodukcji i prestiżu w świecie sztuki.”

Współczesna interpretacja tematów wiecznych i znaczenie tekstów dla odczytywania dzieł sztuki razem z cytatem, ironią i samoironią – oto tematy, do których nawiązują uczestnicy wystawy. Dialog między sztuką współczesną i klasyczną prowadzi do rozmyślań nad problemami muzeów i nad perspektywą nowych praktyk malarskich. Udział w tej wystawie wzięło, na zaproszenie dr Susak, 11 znanych we Lwowie malarzy, rzeźbiarzy, fotografików.

Otwiera wystawę kompozycja **Włodzimierza Kaufmana** o nazwie „Art-Utylizacja”. Warto powiedzieć od razu, że do każdej kompozycji autorzy dołączyli swój własny komentarz, wyjaśniający, jak oni osobiście to rozumieją.



Praca lwowskiego fotografika Aleksego Jutina

Czytając dołączone komentarze, można odnieść wrażenie, że oni chcieli nieco pożartować z odbiorców. Wszystko jest z humorem, ale nie brakuje również smaku. Ale każdy z widzów musi dla siebie wyciągnąć wniosek, czy oprócz humoru jest w tej wystawie dość sztuki, by praca mogła być wystawiana w Galerii Sztuki.

W. Kaufman przedstawia nam nowoczesny lwowski pojemnik na śmiecie, przy którym porzucane są

cia gdzieś daleko w Ameryce lub w Izraelu? Następnie widzimy „Rodzinę Arnolfini” (Jan van Eyck 1434). Woryginał obraz wygląda następująco: kobietę w ciąży mąż trzyma za rękę, a u naszego autora mężczyzna jest ubrany we współczesne ubranie, natomiast kobieta w ciąży jest całkiem rozebrana. Mężczyzna ją też trzyma za rękę, a ona się trzyma za swój brzuch. Ostatnia kompozycja „Śmierć Marata” J.L. Davida. Również widzimy tutaj łazienkę,



W. Kaufman przedstawia nowoczesny lwowski pojemnik na śmiecie

autoportrety. Powstaje pytanie: czy miejsce całej naszej współczesnej sztuki jest na śmietniku lub odwrotnie: nikt jej nie rozumie, więc autor musi wszystko powyrzucać?

Inny autor, znany fotografik lwowski, **Ilia Lewin**, przedstawił trzy kompozycje. Idea jest bardzo prosta. Jeżeli kiedyś znani malarze przedstawiali sceny z życia w strojach swego czasu, to jak będzie wyglądać podobna tematyka w naszych czasach? Otóż, na pierwszej kompozycji widzimy „Autoportret z Saskijeju” Rembrandta van Rijn (1636 r.). Mamy tutaj mężczyznę ładnie ubranego, siedzącego na walizce koło pooblupowanej ściany, na kolanach ma sympatyczną kobietę, a w rękę – kielich wina. Może oni gdzieś wyjeżdżają, żegnają nasz nie bardzo zamożny kraj, aby szukać szczę-

ści mężczyznę, który umiera w wannie, nóż, zepsuty piec gazowy i bardzo dużo różnych szczegółów, które często widzimy u siebie w łazience, na co dzień. Dr W. Susak słusznie dodaje, że zrozumienie dzieł fotograficznych Lewina wymaga znacznego przygotowania i erudycji. Dodamy, że tegoż wymagają wszystkie przedstawione na wystawie prace. Ludziom bez erudycji i wyobraźni tutaj nie ma, co robić.

Warto również zwrócić uwagę na trzy kompozycje znanego we lwowskim środowisku polskim fotografika **Aleksiego Jutina**. A. Jutin przeciwnie, nie chce wyjeżdżać ze Lwowa, lecz chciałby cofnąć się w czasie prawie o stulecie. Na jego nostalgicznym zdjęciu odczuwamy atmosferę lwowskiej kawiarni i lwowskiego sklepiku Leona Janikow-



skiego, przy ul. Teatralnej, 16, który sprzedawał zegarki. Na tym zdjęciu odczuwamy również atmosferę Teatru Polskiego we Lwowie z dnia 19.10.1919 r. Na afiszu spektaklu poznajemy twarz Walerego Bortiakowa – też marzyciela i przez wiele lat kontynuatora tamtych tradycji teatralnych.

Następny autor, **Andrij Sahajdakowski**, wystawił dwie prace XVII wieku ze zbiorów Lwowskiej Galerii

coś mówi na ucho innej, tamta natomiast trzyma w ręku jakąś książkę. Twarze są poważne, pełne głębokich myśli. Przy całej codzienności otoczenia, twarze i oczy kobiet nie zostawiają miejsca na humor i codzienność. Obraz Rawskiego przekazuje rzeczy naprawdę bardzo poważne.

Więcej pytań wywołuje obraz pod nazwą „Obok źródła” Henryka Siemiradzkiego (1898 r.). Oryginał tego obrazu



„Zwiastowanie” Eugeniusza Rawskiego

Sztuk, wymyślając różne śmieszne napisy. Komentując to, pisze: „Nieodwracalność, zapożyczenie i cytowanie – to diagnoza, postawiona przez postmodernizm sztuce. Mijając etap totalnego odbioru i brutalnego protestu, przed tym faktem malarz odnalazł i pokazał nieskończoność nowego, które może się narodzić z fragmentu starego”. Dyrektor J. Onuch napisał, że „Holenderskie

jest wywieszony na ścianie. Olena Turiańska pisze: „Nachyliłeś się, by przeczytać, więc potrzebna etykieta i kilka słów, by podpowiedzieć, kto jest autorem, jak nazywa się obraz, co chciał tym powiedzieć autor, tekst – pomocnik, jednocześnie zastępuje sam obraz, tekst – otwór, przez, który często patrzy się na obraz. To właśnie Turiańska zrobiła. Ustawiła ekran przed oryginałem obrazu Siemiradzkiego i napisała: „Idylliczna scena na tle krajobrazu z niebieską zatoką i górami, młode ładne dziewczyny, ubrane w tuniki, odpoczywają na zielonych kamieniach starego źródła”. Można włączyć filmoskop i wyświetlić ten napis, a gdy zajść od tyłu, to można zobaczyć go na samym obrazie Siemiradzkiego. Napis przeszkadza dobru obejrzeniu obrazu. Więc powstaje pytanie: co jest ważniejsze – obraz czy napis? Czy oglądamy dzieło sztuki, czy tylko czytamy, to, co o nim napisał znawca sztuki?”



Zamiast obrazu napis: „Tu może być Twój obraz”

malarstwo XVII w. jest symbolem solidności, które w interpretacji Sahajdakowskiego objawia również poważne zapasy ironii”.

Eugeniusz Rawski proponuje odbiorcy, by porównał obraz „Zwiastowanie” (XVI w.) ze zbiorów lwowskiej Galerii, na którym Archanioł Gabriel przychodzi do Marii z radosną nowiną, do „Zwiastowania” własnego autorstwa. E. Rawski przedstawił ładny obraz, na którym są dwie postacie kobiet w kuchni, obok zwykłych naczyń. Jedna kobieta

Ostatni rozdział wystawy stanowią prace Włodzimierza Kostyrki. W swojej instalacji czy animacji przedstawia oryginalne obrazy ze zbioru Galerii Sztuk. Między innymi: J. Matejko „Studia konia”, M. Wysocki „Most na Sekwanie”, R. Sielski „Zima”, J. Malczewski „Autoportret z muzą” i kilka współczesnych powszechnie znanych, takich jak Z. Flint „Holownik morski”. Umieszczając wśród znanych obrazów złoconą ramę z napisem: „tu może być twój obraz”, autor wyśmiewa nie tylko lwowską reklamę „tu może być twoja reklama”, ale również mówi: „Obrazy autora znajdują się w muzeum, to wyraz, który dodaje wagi i sprzyja sukcesowi komercyjnemu autora, taka reklama, jest jednym z realiów współczesnego życia

artystycznego”. Więc kogo wyśmiewa Kostyrko? Tych, którzy za wszelką cenę chcą trafić do katalogów muzeów? Czy tych, którzy dla sukcesu komercyjnego przekazują w darze dla galerii swój obraz, by ich zauważono i zaproszono dla wykonania jakiejś wysoko opłacalnej pracy?

Wystawa wzbudza zainteresowanie. Ludzie przychodzą, oglądają, czytają. Każdy z artystów zwraca się do nich z pytaniem: „Jakie ma być malarstwo współczesne. Pani Wita Susak zadaje pytanie: „Jak ma wyglądać współczesne muzeum? Jakie dzieła mają prawo znajdować się w takim muzeum?”. W każdym razie, taka wystawa – to sukces, bo ją odwiedzają ludzie. Wiadomo, jeżeli muzeum nie ma zwiedzających, to ono nikomu nie jest potrzebne. Więc, można wynioskować, że muzeum potrzebuje właśnie takich prac.

Naszemu korespondentowi dr W. Susak powiedziała: „Główną myślą przewodnią było to, że Lwowska Galeria Sztuk ma bardzo bogaty zbiór obrazów, natomiast lwowianie bardzo rzadko ją odwiedzają. Z jednej strony, postanowiłam nieco ożywić i zmienić coś w naszym mieście, by ludzie zauważyli, ile pięknego jest u nich pod bokiem. Z drugiej zaś strony, we Lwowie jest bardzo dużo malarzy, którzy wystawiają się na Zachodzie, a nikt ich nie zna we Lwowie. Postanowiłam, więc organizować taki swoisty dialog między starym a nowym, pokazać, że muzeum – to nie tylko magazyn starych, zakurzonych obrazów, ale również przestrzeń dla twórczości, miejsce, w którym można przedstawiać różne ekspozycje, wywołując przez to różne żywe reakcje u ludzi. W tym celu na początku tego roku 11 malarzom został zaproponowany temat do rozmyślenia: „co to jest muzeum?”, „Czy chcieliby oni, by ich obrazy znalazły się w muzeum? „Czy widzą oni przyszłość muzeów, czy, odwrotnie, uważają, że to jest już przeszłość i sztuka wyszła na ulicę?”

Dana wystawa wyświetliła różne rodzaje dialogu. Z jednej strony – to gra, ironia, co do cytatów, rozmyślanie na temat, z czym mają do czynienia ludzie częściej – z oryginałem czy kopią, prowokacja w postaci pytania - „czy chcesz, by twój obraz tu był?” jak u pana Kostyrki. W niektórych pracach malarze odważyli się pokazać wieczne tematy z nowego punktu widzenia. Czy malarze czasami się śmieją z odbiorców? Nie, raczej wyśmiewają samych siebie, bo ironia i samoironia są głównymi cechami postmodernizmu. Jeżeli chodzi o fotografików, uważam, że są zawodowcami, którzy bardzo ciasno związani są ze Lwowem. Oni przemieszczają znaki z przeszłości w nasze realia. W żadnym wypadku nie kopią znanych obrazów, a raczej udają się do przesunięcia akcentów. Np. jak w przypadku I. Lewina. Dla Dawida ważny jest Marat, natomiast dla niego - „nasza” wanna, która wywołuje dużo emocji u odbiorców. Jeżeli chodzi o Kostyrkę, to on chciał powiedzieć, że żaden z malarzy nie byłby przeciwny temu, by znaleźć się w towarzystwie takich znanych twórców, jak Matejko, Wysocki i itp.

Na zakończenie jeszcze kilka myśli dyrektora Jerzego Onucha: „Przy zwiedzaniu wystawy powstaje pytanie o identyczność, tożsamość. Czy mamy prawo uważać, że pamięci jest tyle, ile ludzi? Innymi słowy, gdzie jest ta granica między pretensją wspólnoty i pragnieniem każdej osoby do zachowania swojej identyczności? Autorzy przedstawionych na wystawie dzieł ze swoją bezkompromisową pozycją są najlepszymi adwokatami naszego prawa do własnej pamięci, a otóż - do wolności”.

Mistrz sugestywności i subtelności

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcie

Tym Mistrzem jest dobrze nam wszystkim znany Georg Borysowski – fotografik, człowiek o nieprzeciętnej indywidualności, człowiek o bardzo osobistym, naprawdę subtelnym odczuciem wszystkiego, co nas otacza. 29 grudnia 2007 r. zaprezentował on w „Galerii Wasyla Pyłypiuika” indywidualną wystawę swoich dzieł. Wraz z galerią współorganizatorem wystawy była redakcja „Lwowskich spotkań”, a zwłaszcza redaktor naczelny Pani Bożena Rafalska. Nic dziwnego. Pani Bożena od wielu lat współpracuje z G. Borysowskim, zna go jeszcze z czasów szkolnych. G. Borysowski stale publikował swoje fotografie na łamach „Gazety Lwowskiej” i „Lwowskich Spotkań”, szczególnie wtedy, kiedy B. Rafalska była redaktorem naczelnym pierwszego tytułu. Ona umiała docenić jego niezwykły talent, który przerastał nieraz poziom gazety i poziom lwowskiej fotografii tamtych lat. Przecież jeszcze w latach 80. XX w. był on dobrze znaną osobowością w świecie fotografii artystycznej, laureatem znaczących międzynarodowych wystaw. Jego prace są w zbiorach prywatnych, w galeriach i muzeach całego świata, warte są dużych pieniędzy, lecz dla polskich czasopism lwowskich on zawsze pracował za darmo, z całym sercem i całą duszą.

Myślę, że i ten powrót do Lwowa, to też powołanie serca, to swoista „podróż sentymentalna” nie tylko w świat swego dzieciństwa i młodości, lecz także do ludzi, obok których żył, pracował, kochał.

Wystawa składa się z trzech części. Pierwsza – to zdjęcia ze Lwowa i Żółkwi, druga – to unikatowe widoki cmentarza we wsi Demnia pod Mikołajowem, czterdzieści kilometrów od Lwowa, trzecia – to fotografie amerykańskie z



Georg Borysowski

Chicago, gdzie G. Borysowski mieszka w ostatnich latach. Powiem szczerze, po obejrzeniu dwóch pierwszych części, nie chciałem, a nawet nie mogłem oglądać tej trzeciej, amerykańskiej. Bałem się zepsuć to czarowne, magiczne wrażenie, które ogarnęło mnie, bałem się zostawić tę niezwykłą atmosferę, która panowała w pierwszych salach.

Liczne lwowskie muzea i galerie szukają ciekawych, utalentowanych artystów – malarzy, rzeźbiarzy, fotografików itp. W ostatnich latach wystaw jest dużo, lecz mało talentów! Dużo oryginałów lub ludzi, którzy sami siebie za takich uważają, jeszcze więcej dzieł przeciętnych. Jak różni się od tamtych wystaw wystawa G. Borysowskiego! Imponujący jest też ogrom pracy, którą on wkłada w każde zdjęcie. Autor skromnie opowiadał, jak godzinami, a może nawet cały dzień siedział na

cmentarzu w Demnie, żeby zrobić tylko jedno zdjęcie, żeby złapać tylko jeden odpowiedni moment oświetlenia, tylko jedną chmurkę na niebie, tylko jeden odpowiednio spadający cień od Postaci Matki Boskiej!

Jak fantastycznie wygląda znany nam wszystkim Cmentarz Orłat, sfotografowany w nocy! Jeszcze jedna „słabość” artysty, to fotografowanie staruszek, ludzi biednych. Dawno, może 10–12 lat temu, byłem świadkiem jak długo i mozolnie wybierał on ujęcie, oświetlenie, miejsce dla fotografii „ostatniej z Boimów”, pani Janiny, która przez wiele lat była kustoszem, dobrym geniuszem tejże Kaplicy Boimów. A staruszka w zaulku ormiańskim! Jeszcze inna przy ul. Staupigijiskiej i staruszka w zaulku w Żółkwi. Za tymi fotografiami wstają nie tylko dni młodości autora, nie tylko Lwów lat 50 XX w., wstają

stulecia, wstają wydmy dawno minionych epok!

Wystawa zebrała niemało ludzi. Pomieszczenia „Galerii W. Pyłypiuika” były przepełnione. Nie było tutaj ludzi z ulicy, ludzi przypadkowych. Koledzy p. G. Borysowskiego z branży – znani fotograficy lwowscy na czele z gospodarzem sali Wasylem Pyłypiuikiem, przedstawiciele organizacji polskich we Lwowie, dla których autor wystawy zawsze będzie „naszym człowiekiem”, choćby fotografował tylko Amerykę. Przyjemnie było zobaczyć prezesa FOP na Ukrainie p. Emilię Chmielową, Teresę Dutkiewicz, Mariana Baranowskiego, Stanisława Durysa i wielu innych. Miłą niespodzianką była obecność na wystawie pana Rafała Dzieciolowskiego, wice-prezesa Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie, z Warszawy. Odwiedził otwarcie wystawy również o. Bruno Neumann z Drohobycza.

Czarno-białe fotografie G. Borysowskiego, są wykonane na bardzo wysokim poziomie zawodowym, zrozumiałym w niektórych szczegółach tylko jego kolegom – zawodowcom. Zwykły odbiorca odczuwa właśnie atmosferę, aurę tych zdjęć! Sam mistrz trzymał się bardzo skromnie, bez pretensji, bez jakiegokolwiek aktorstwa, co często bywa z ludźmi sztuki, nie starał się jakimś gestem, postawą czy kwiecistym słowem zwrócić uwagę na siebie, na swoje prace. Nie chwalił się, nie grał, był samym sobą, a za niego przemawiały jego fotografie.

Do wystawy został starannie przygotowany i wydany przewodnik, na łamach którego wydrukowano większość przedstawionych fotografii. Tytuł wprowadzenia, autorstwa Lany Mokinej, brzmi bardzo wymownie – „Magiczne miasto”. Dodamy – magiczne fotografie magicznego miasta, zrobione przez bardzo delikatnego i magicznego człowieka. W skrócie podajemy relację L. Mokinej i kilka zdjęć z wystawy.

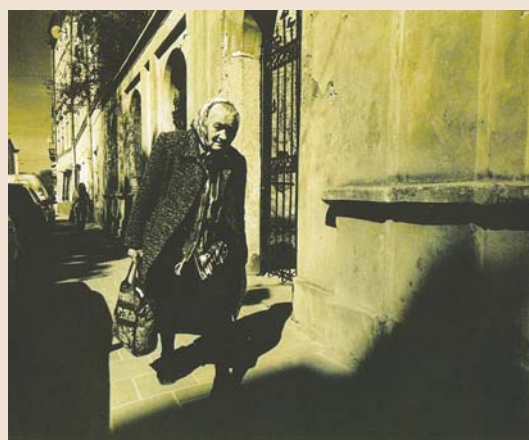
LANA MOKINA

Przybyli Państwo na spotkanie ze starym Lwowem – w obiektywie fotografa – miastem naszego dzieciństwa. Miastem magicznej tajemnicy średniowiecza, tak bardzo związanej z dniem dzisiejszym. Miastem brukowanych zaułków, urokliwych uliczek, które pamiętają ślady naszych przodków, jak też pozostawione tam ślady naszego lwowskiego dzieciństwa. Przyszli Państwo na spotkanie z niezwykłą aurą lwowskich podwórzy – studni, niedosiężnie wysokich murów i znanych nam tylko, jako dzieciom, zakamarków lwowskich. Jest to spotkanie z miastem zapamiętanym z naszych snów i marzeń.

Zwyczajne lwowskie mury, sylwetki starych kościołów, cerkwi, studni, fontann, latarni i lichtarzy. Wszystko, co ukochaliśmy i co, tak bardzo, ogrzewa dobrym wspomnieniem, zziębniętą na obczyźnie duszę. Ten – przedstawiony w fotografiach, lwowski esej, jest dziełem Georga Borysowskiego, artysty-fotografa ze Lwowa.

Prace Georga zdejmują zasłonę z naszych oczu i serc. Uwrażliwiają na piękno i dostojność miasta, w którym żyjemy. Jego urodę niedostrzeżoną w zgiełku codzienności. Oglądamy to miasto oczami mistrza. Powstaje przed nami autentyczne – dumne i wspaniałe. Zmusza do myślenia i przewartościowania naszego doń stosunku.

Miasto magiczne



Nie możemy powstrzymać biegu czasu. Jednakże poprzez czuły obiektyw Georga odbieramy nie tylko wielkość architektury, odczuwamy klimat dawnej aury Lwowa. Pod wpływem fotografii Georga Borysowskiego budzą się w nas obrazy z dzieciństwa, z tamtych dni, kiedy drzewa były wielkie, a my – tacy mali. Ciepłe wspomnienia czegoś czystego i szczerego, nie zbrukanego dojrzałością. Artysta wprowadza nas w ten świat poprzez technikę rozmytych konturów, nostalgicznej sepii, zmłoczenia i łagodnych półtonów.

Drugą część wystawy stanowią wrażenia Georga ze Stanów Zjednoczonych. Autor pozostaje wierny swej technice. Nie chodzi mu bowiem o dokładne przedstawienie architektury drapaczy chmur, lecz o odczucia Europejczyka,

który zderza się z Ameryką.

Fotografie Georga z USA nie są pocztówkami przedstawiającymi monumentalizm budowli amerykańskich. I tu, podobnie jak we Lwowie, mamy do czynienia z osobistym, indywidualnym spojrzeniem, które charakteryzuje zdjęcia Georga Borysowskiego. „To również półcienie, błyski światła, neony,



załomy ulic i domów, tym razem wielkiego amerykańskiego miasta” – mówi autor.

Trzecia część wystawy to – miasto zmarłych. Stary cmentarz we wsi Demnia, pod Mikołajowem na Ziemi Lwowskiej. Jest on jak gdyby miniaturą Cmentarza Łyczakowskiego. Z tą

jedyną różnicą, że nagrobki na tym cmentarzu nie są dziełem artystów z wykształceniem akademickim, lecz pracą zwykłych rzeźbiarzy ludowych, na swój sposób przekazujących niepowtarzalnie piękno Matki Bożej, świętych i aniołów. Figury stojące na wiejskim cmentarzu przypominają mieszkańców tej wsi. Matka Boska wygląda jak dorodna młoda kobieta wiejska dumnie w ramionach trzymająca Dzieciątka. Każda z postaci jest Inna. Oto Maria Dziewica okryta wiejską chustą świętą, jako zwykła dziewczyna udająca się w niedzielę do cerkwi.

Nadzwyczaj sugestywnie przekazana jest atmosfera cmentarza i pejzaż wokół niego. Bezkresne łąny zbóż i tajemniczo szumiące drzewa. Odnosi się wrażenie, że ci tak podobni do mieszkańców wioski, święci zjeżdżają ze swych postumentów i wyjdą nam na spotkanie...

Prawie dotykalna jest też na fotografiach faktura kamienia. Wydaje się, że odczuwamy jego chropawość i ciepło.

Prace Georga Borysowskiego to prawdziwa poezja, która z całą pewnością poruszy struny serca oglądających.

„We Lwowie czułem się jak u siebie w domu”

DR ANATOL IWCZENKO

- Minęło kilka miesięcy odkąd był Pan we Lwowie, gdzie prezentowany był ukraiński przekład pańskiej powieści „Koniec świata w Breslau”. Jak minęły te miesiące dla Pana jako pisarza i człowieka?

- Były to miesiące bardzo pracowite; wypełnione jednak nie tyle pracą pisarską, ile aktywnością promocyjną. W październiku ukazała się na polskim rynku księgarskim moja nowa powieść „Dżuma w Breslau” i czyniłem to, co zawsze po premierze książki: wywiady, sesje fotograficzne i spotkania z Czytelnikami.

- Czy wspomina Pan Lwów? Jak się Pan czuł w tym mieście? Czy opowiadał Pan o tej podróży swojej mamie, która, jak wiadomo, pochodzi spod Lwowa? Jeżeli tak, to co?

- We Lwowie czułem się jak u siebie w domu. Otaczała mnie wielka serdeczność i gościnność. Byłem zachwycony pięknem tego miasta, które odgrywało przecież tak wielką i ważną rolę w naszej wspólnej historii. Ślady polskości nie tylko nie są tutaj zamazywane, a wręcz przeciwnie – są szczególnie pielęgnowane. Jako Polakowi ciepło mi się robiło na sercu, kiedy moi ukraińscy przyjaciele dostrzegali, iż ich rodzinne miasto było w swej przeszłości polskie i wielokulturowe i że są dumni z takich polskich synów Lwowa jak na przykład Stanisław Lem czy Zbigniew Herbert. Mojej mamie, która już dawno nie była we Lwowie, opowiadałem o bardzo ciepłym przyjęciu mojej osoby. Nie dziwiło jej to, ona zawsze była tutaj serdecznie przyjmowana. Nie tyle jednak Lwów, ile powiat Krukienice to kraina jej dzieciństwa. Tam skończyła szkołę podstawową i do

dzisiaj bardzo dobrze mówi po ukraińsku. Przy następnej okazji odwiedzę stryjka mojej mamy i jego żonę, którzy mieszkają we Lwowie. To przecież moja rodzina! Po powrocie ze Lwowa wypytywałem mamę o całą naszą rodzinę z tych stron. Okazało się, że niektórzy jej przedstawiciele mają ukraińskie korzenie. To dodatkowo wpłynęło na mój bardzo przyjazny stosunek do Lwowa i do Ukraińców.

- Czy zmieniła ta podróż jakieś pańskie zdania, opinie o Ukrainie i Ukraińcach?

- Przed moim wyjazdem do Lwowa odnosiłem się dość obojętnie do Ukrainy i Ukraińców. Oczywiście – jak większość Polaków – z całych sił kibicowałem pomarańczowej rewolucji, ogromnie się cieszyłem, że Ukraina wyzwala się spod dominacji rosyjskiej, ale nie odczuwałem specjalnej bliskości pomiędzy naszymi narodami. Odczułem ją bardzo mocno dopiero wtedy, kiedy przyjechałem do Waszego pięknego miasta. Zrozumiałem, jak nasze narody są sobie bliskie, jak oba kochają wolność, jak oba bardzo wycierpiałły w swej historii od rosyjskiego imperium. Zdałem sobie sprawę, że powinniśmy przewyciężyć i przełamać ostatecznie ślady wzajemnej niechęci, jaka niekiedy jeszcze tkwi w starszym pokoleniu. Zewnętrznym znakiem mojego zainteresowania Ukrainą jest to, że bardzo uważnie czytam w polskiej prasie doniesienia o sytuacji wewnętrznej w Waszym państwie, a kiedyś te relacje na ogół pomijałem. Zwykle nie zabieram głosu w kwestiach politycznych, ponieważ nie jestem żadnym autorytetem, lecz skromnym autorem literatury klasy B. W tym wywiadzie nie mogłem się jednak powstrzymać od tego... Zbyt wielki wpływ wywarł na mnie Lwów i jego mieszkańcy, abym publicznie milczał o tych sprawach.



- Co w ogóle dają pisarzowi takie spotkania z nowymi czytelnikami, nowym krajem?

- Bardzo wiele. Pisarze często cierpią na deficyt pomysłów i niedosyt inspiracji. A pobyt w innym kraju, spotkania z ludźmi niekiedy odmiennie postrzegającymi świat, posługującymi się innym językiem, a nawet drobiazgi jak obca kultura kulinarna – to wszystko nie tylko dodaje pisarzowi nowej energii do tworzenia, lecz przede wszystkim wzbogaca go duchowo.

- Czy próbował Pan czytać swoje książki w przekładach na inne języki? Czy jest to dla Pana ciekawe jako dla pisarza? Jakie jest spojrzenie na swoją książkę przez pryzmat obcego języka? Na przykład ja czytałem pańskie książki w trzech językach i każdego razu odnosiłem inne wrażenia.

- Wie Pan, ja nigdy nie czytam moich książek już po oddaniu ich do wydawnictwa. Jestem wobec siebie nadzwyczaj

krytyczny i wpadam w złość, kiedy stwierdzam, ile jest w nich – już po wydrukowaniu – passusów nudnych lub nieudolnych literacko. To oczywiście subiektywna ocena wynikająca z mojego hiperkrytycyzmu. Wychodząc z tego punktu widzenia, nie czytam również przekładów moich książek, bo nie chcę się denerwować na samego siebie.

lecz również człowiekiem pełnym wad, kompleksów, fobii i niepokojów. Taki bohater jest bliski Czytelnikom, oni mogą się z nim utożsamiać, choć może nigdy nie przyznają się głośno do tego. Eberhard Mock jest wrażliwym człowiekiem, który pod maską cynizmu i brutalności stara się ukryć swoje bolesne dylematy.



- Pańskie powieści nie są typowymi powieściami kryminalnymi. Pański bohater ma bardzo złożony świat wewnętrzny. Portret Mocka jest bardzo specyficzny. Dlaczego świadomie uczynił go pan tak odrażającym? Mock pije, bije żonę, chadza do burdeli, na własną rękę wymierza sprawiedliwość, torturuje więźniów aby otrzymać potrzebne zeznania. Ale właściwie to Mock wywołuje sympatię, nie wstręt. Dlaczego połączył w nim Pan cechy, których nie da się pogodzić w jednej osobie?

- Chciałem stworzyć bohatera z krwi i kości, który byłby nie tylko herosem,

- Pewien młody poeta ukraiński na forum internetowym napisał bardzo kategorięcznie, że Krajewski to zepsuty Chandler. Co łączy Pana z Chandlerem, a co jest odmienne?

- Raymond Chandler jest moim mistrzem literackim. Wiem, że jego maestrii i wirtuozerii w opisie świata i w projektowaniu błyskotliwych dialogów nigdy nie osiągnę. W tym sensie zgadzam się z opinią tego internauty – wiem, że jestem o wiele gorszy od Chandlera. Pytanie o to, co mnie łączy, a co dzieli z kalifornijskim Mistrzem, powinno być raczej skierowane do krytyka literackiego.

Opowiadanie

JEWROPEJSKIE PITOLENIE

Maksymilian Dymitr Czornyj – rocznik: '89. Mieszka w Lublinie. Poezję publikował w kilku ogólnopolskich czasopismach, ale zarzucił ją dla prozy. Jego opowiadania ukazywały się m.in. w: Akcencie, Szafie, Korespondencji z Ojcem, Aspiracjach, Kozirynku. Jest aktywnym i znanym recenzentem największego, internetowego Forum poświęconego literaturze. Obecnie pracuje nad swoją pierwszą powieścią.



MAKSYMILIAN DYMITR CZORNYJ

Opowiem Wam pewną historię. Być może jest ona prawdziwa, a może jest w niej tylko ziarno prawdy. Nie wiem. Chłopiec, który mi ją opowiedział, rozplątał się za rogiem ulicy, nie zdążyłem go zatrzymać i o nic zapytać.

Rynek tonął w półcieniu. Słońce co chwila wynurzało się zza chmur, by zaraz znowu za nimi schować. Przypominało to radosną grę w ciuciubabkę, w którą tak chętnie bawiły się lwowskie bajbusy. Był sierpień, ale pogoda tego lata nie dopisywała. Mimo to, całą starówkę szczerze wypełnili turyści – obchodzili rytualne koło: Opera – McDonald's – Hotel George – Ratusz i znowu Opera.

Przy stolikach piwami zawsze było luźniej. Lepiące się blaty, dawno niezmie-

nianie foliowe obrusy, skrzypiąca podłoga – wszystko to tworzyło wyjątkową atmosferę, która podobala się tylko nielicznym. Warto też dodać, że bardzo nieliczni lubili Wajsa, a tylko Wajsa tu podawano. - Chryćko – odezwał się Piotr. - A gdybyście tak, jednak zostali? Podkreślił sumiastego wąsa i pociągnął duży łyk piwa.

- Już wszystko postanowione. - Ale gdyby, nie myślałeś tak...? - Nu.

Chryćko posturą przypominał niedźwiedzia. Wielki, szeroki w barach i pasie, z kilkudniowym posiwałym zarostem na puculowatej twarzy. Uśmiechnął się smutno.

- Rozumiem – Piotr potrząsnął głową. - Cholera, ja to całkiem rozumiem.

- Dzieci mówią, chodź do Jewropy, Jewropa to Polszcza nie Ukrajina. Co robić? – Chryćko bezradnie rozłożył ręce. – Jeszcze jakby tylko prosili, to kto wie, a tak... Mieszkanie kupione, wnuki w drodze, trzeba uciekać za nimi.

- Ze Lwowa?

- A co, ja na to poradzę? Ze Lwowa, Berlina, czy nawet Sidnej. Mówię tylko: nie da rady.

- Więc kiedy? - Za miesiąc. - Wrócisz tu jeszcze? - Jak tylko Boh da. - Szybko? - Nie wiem. - A co z Olgą? - Oczywiście, że chce jechać. Pierwsza ciągle Jewropa i Jewropa gada. Podeszła do nich tęga kelnerka. Zabrała na tacę puste kufle i popielniczkę. - Rachunek, czy coś jeszcze? - Jeszcze raz Sławutyczca. - Widzę, że panowie dzisiaj browarnie – Uśmiechnęła się tak tępo, jak tylko potrafią znudzone pracą kelnerki – Dwa? - Tak. Dwa. Ale lejcie całego gielajza! Bo do połowy to żadna robota!

Kelnerka odeszła i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Patrzyli na wypełniający plac tłum, wsłuchiwali w gwarny rozmów, wylapując pojedyncze przemieszane słowa – ukraińskie, polskie, rosyjskie. Wreszcie ich spojrzenia spotkały się i poczuli głęboki żal, najprymitywniejszą gorycz rozstania. Właśnie taką, jaką w smutnych bajkach odczuwają nieszczęśliwi kochankowie.

- I z kim, ja ci teraz będę pił? – westchnął Piotr. – No z kim? - Nie wypominaj mi – Chryćko przetarł okulary. – Risk jest duży, sam się denerwuję.

Znowu milczeli. Kelnerka przyniosła piwo i bez słowa odeszła, zataczając tłustymi pośladekami obfite łuki.

Piotr otarł niechcianą łzę.

- Chciałbym się upić i jutro nie wstać – szepnął. – Boże, czy normalny mężczyzna może kochać drugiego tak, jak brata, czy siostrę? - Nie wiem, mówmy o czymś innym. - Dawno byłeś na Orlećach? - Jeszcze na wiosnę. - Ładnie tam mają. - Ano, nie pogardziłbyś. - Głupi temat. Wybacz, nie wiem o czym mówić. - Po prostu pij. To dobre piwo.

Więc pili. I nie byłoby w tym wszystkim nic dziwnego, gdyby nie zjawił się pewien chłopiec. Podeszedł do brudnego stolika, przy którym siedzieli i wyciągnął mały bukiet kwiatów. Potrząsnął nim, jakby chciał, żeby wszystkie liście i płatki opadły na ziemię.

- Pan dla żony? A może pan? – uśmiechnął się szczerząc drobne zęby.

Mężczyźni pokręcili przecząco głowami, ale chłopiec uparcie wymachiwał kwiatami. Kąciki jego ust brudne, jakby w czekoladzie, rozszerzyły się w miłym uśmiechu. Przekrzywiony na bakier kaszkiet, zdawał się rzucać wyzwanie młodzieżowej modzie, a wystająca z kieszonki płaszczka dewizka zegarka, zaskakiwała oryginalnością.

- Panowie patrzą na mnie, jak na śmierdziucha. Ja nie z takich. Panowie łaskawi, pójdą ze mną – malec wyciągnął drobną dłoń. – Na zicher, nie pożałują!

Może to piwo tak na nich podziało, a może rozkoszna chłopięca radość, ale wstali od stołu, zostawili pieniądze i wyszli. Przeszli za drewniany płot i pokracznie stanęli przy chłopcu.

- Proszę się nie buździurzyć – chłopiec chwycił ich dłonie. – Idziemy, raz, dwa, trzy.

I posłusznie ruszyli.

Lwów jest miastem tajemnic i zagadek, ślepych ulic i krętych uliczek. Gdy raz zanurzysz się w tym klimacie, gdy nasiąkniesz tutejszą atmosferą, już zawsze odnajdziesz w swoim sercu jego znamię. Posiądzie cię i obejmie gąszczem kamienic, przycupniętych kościołów, cerkwi i placów. Uściśnie cię. Wtedy, być może zrozumiesz, że tu nie ma znaczenia, kim jesteś i skąd pochodzisz. Lwów jest dobrym ojcem, który przygarnia do siebie wszystkie dzieci, nie pytając ich ani o imię, ani o wyznanie. Dlatego, jeśli tylko straciłeś wiarę, jeśli czujesz w sercu potrzebę – rozkoszuj się, rozkoszuj się smakiem Lwowa.

Ja mam w sobie zbyt wiele pokory, aby porównywać moją skromną twórczość z gigantem pióra, jakim był Chandler.

- Pan nie tylko po mistrzowsku buduje fabułę swoich książek, lecz jest Pan naprawdę świetnym stylistą. Kto z mistrzów literatury polskiej i światowej okazał na Pana największy wpływ?

- Ja nie wiem, jakie jest rzeczywiste znaczenie frazy „wywierac na kogoś wpływ literacki”, wiem natomiast, których autorów czytam nieustannie i do których wciąż wracam. To przede wszystkim Bolesław Prus i jego wielka realistyczna powieść „Lalka”, w której z równą precyzją została przedstawiona i dziewiętnastowieczna Warszawa, i skomplikowane stany duszy bohaterów. To Günter Grass i jego „Blaszyany bębenek” – znów powieść o zaginionym, nieistniejącym świecie i mocno zmitologizowanym mieście, które dziś nie jest tym, czym było kiedyś (jak dzisiejszy Wrocław czy Lwów). To Andrzej Szczypiorski i jego powieść „Początek” – wielki pean na cześć ludzkiej solidarności i nieistniejącej już wielokulturowej Polski. Z poetów, którzy mieli najsilniejszy wpływ na moje pokolenie, wymienię Herberta. Był on naszym moralnym drogowskazem w ponurych czasach komunizmu i niesuwerenności Polski.

- Wiadomo, że to za mało napisać dobrą książkę lub książki. Co pańskim zdaniem ma dzisiaj największy wpływ na popularność pisarza?

- Dobra promocja i zainteresowanie mediów. Pisarz nie może siedzieć w wieży z kości słoniowej i patrzeć z pogardą na innych. Czasy poetes maudits dawno już minęły. Dzisiaj jest era telewizji i Internetu. Dzisiejszy pisarz – jeśli chce żyć ze swojej pracy – musi być człowiekiem medialnym i cierpliwym. Musi udzielać wielu wywiadów i z uśmiechem odpowiadać na pytania, na które już odpowiadał tysiąc razy. „Jeśli nie chce tego robić, niech zmieni zawód”

- zacytuję mojego kolegę po piórze. Oczywiście, pisarz powinien dokonywać pewnej selekcji. Na ostatnim spotkaniu autorskim we Wrocławiu pewien student dziennikarstwa poprosił mnie o wywiad, który miał być jego pracą zaliczeniową. Odpowiedziałem, że to trochę dla mnie poniżające być wykorzystanym w zadaniu domowym. Wbrew tej odpowiedzi przemawiała przede mną nie pycha, lecz poczucie, że zmarnowałem czas, udzielając wywiadu, który przeczyta tylko jedna osoba – profesor, który zadał taką pracę domową.

- Skąd Pan czerpie wiadomości o życiu wrocławskiego półświatka. Mówią wprost, skąd dowiadujecie się o życiu dawnych prostytutek, alfonsów, zbrodniarzy?

- To wszystko moja fantazja i rutyna doświadczanego czytelnika kryminałów, które niegdyś pochłaniałem w ogromnej ilości. Nie korzystałem z żadnych pitawali ani kronik policyjnych. Jestem przekonany, że życie środowisk przestępczych nie zmieniło się wcale od stu lat z dwoma wyjątkami – narkomania, która nie była sto lat temu tak powszechna, dzisiaj jest wszechwładna, a ponadto nie działa już dzisiaj swoisty przestępczy kodeks honorowy, który na przykład nie pozwalał okradać dzieci, starców czy kobiety w ciąży.

- Miesiąc temu ukazała się pańska nowa książka z cyklu o Eberhardzie Mocku „Dżuma w Breslau”. Dlaczego wrócił Pan do Mocka, przecież przed tym niejednokrotnie słyszeliśmy, iż życie tego bohatera ograniczy się do tetralogii?

- Odpowiedź jest prosta: chcieli tego moi Czytelnicy, a ja dla nich piszę i bez nich bym nie istniał. Byłoby nierozsądne i głupie ze strony autora literatury popularnej nieuwzględnianie czytelnicznych opinii i dezyderatów.

- Na pewno już dotarli do Pana pierwsze opinie czytelników. Co przeżywa w nich, radość z powodu tego, że ich ulubiony bohater znów jest z nimi,

czy też rozczarowanie, bo nie poznali nowego bohatera?

- Wszystkie bez wyjątku opinie wyrażały radość z powrotu Eberharda Mocka. **- Rozumiem, że trudno jest pożegnać się z Breslau i Eberhardem Mockiem. Jeżeli tak, to czy warto to robić?**

- Niektórzy pisarze szukają odmiany. Conan Doyle powiedział kiedyś, że najszczęśliwszym dniem jego życia był ten, kiedy usmiercił Sherlocka Holmesa. Czytelnicy mu tego nie darowali i po kilku latach angielski detektyw zmartwychwstał. Nie mam zamiaru powtarzać błędów Conan Doyle’a.

- Kiedyś opowiadał Pan, że pańska praca przynosi dobre zarobki. O ile wiem, zrezygnował Pan z pracy „belfra od łaciny” i od października już Pan nie jest docentem na uniwersytecie Wrocławskim. Jak czuje się Pan w nowym emploi, kiedy to jedynym pańskim zajęciem stała się literatura? Cieszy się Pan z tego czy tęskni do zwykłej pracy wykładowcy akademickiego?

- Moja praca pozwala mi utrzymać rodzinę. Nie jestem jednak bogaczem, który mieszka w przeszklonym apartamencie na czterdziestym piętrze, a wakacje spędza na Wyspach Kanaryjskich. Bardzo się cieszę, że mogę żyć z literatury i mam nadzieję, że zawód ten będę uprawiał do końca życia. Ale z drugiej strony brakuje mi zajęć ze studentami, bo zawsze w jakiejś grupie znajdowały się dwie-trzy osoby, które bardzo się interesowały nietrywialnymi zagadnieniami, których nauczałem (gramatyka historyczna języka łacińskiego, językoznawstwo porównawcze). Tych ludzi już nie ma wokół mnie w moim obecnym wcieleniu. Trochę szkoda...

Dr Anatol Iwczenko – filolog sławista, leksykograf, pracownik naukowy Politechniki Lwowskiej, autor ośmiu słowników, m.in. Słownika ukraińsko-polskiego (Lublin, Wydawnictwo UMCS, 2003, 2005)

„Napisałem dwa utwory, związane z papieżem”



Z Krzysztofem Pendereckim rozmawiała dziennikarka Polskiego Radia Lwów Anna Gordijewska

Pan został zaproszony do Lwowa...

- To już było umówione, zrobiłem wszystko, by przylecieć, chociaż dwa dni jechałem, bo przed tym miałem w Cincinnati koncert, ale zaczęła się śnieżycyca, w Chicago było to samo. Z Warszawy mieliśmy lecieć takim małym samolotkiem, ale okazało się, że jest niemożliwe, bo jest zła widoczność, można tylko dużym, a duży już odleciał.

- Pan ma szczególny sentyment do Lwowa?

- Tak, mój dziadek studiował tutaj, a wujek był szefem sztabu. Razem z mamą spędzałem wakacje we Lwowie, ostatni raz, w 1939 r., tuż przed wojną.

- Utwór „Te Deum” został napisany w 1979 r., po tym, jak papieżem Janem Pawłem II został Karol Wojtyła, ale we Lwowie został wykonany po raz pierwszy.

- Zaczęłem ten utwór pisać w dniu wyboru go na papieża. Znałem papieża bardzo dobrze jeszcze z lat pięćdziesiątych, gdy on jeszcze jako ksiądz występował w Teatrze Rapsodycznym. Później to on już nie miał czasu na sztukę i więcej interesował się raczej literaturą. Napisałem dwa utwory, związane z papieżem, to oczywiście „Te Deum”, a drugi to „Chaconne – in memoria Giovanni Paolo II” z „Polskiego Requiem” na orkiestrę kameralną, napisany po śmierci papieża.

- Co było podstawą literacką do „Te Deum”?
- „Te Deum” – to jest hymn dziękczynny, ten tekst jest używany zawsze w podniosłych momentach, z różnych okazji kościelnych.

- Wprowadził Pan do „Te Deum” fragmenty hymnu „Boże, coś Polskę”?

- „Te Deum”, pisane w roku 1979 r. było utworem patriotycznym, chociażby przez samą sytuację, że Polak po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat był wybrany papieżem. „Boże, coś Polskę” to jest też hymn patriotyczny i też wykonywany w podniosłych chwilach w kościele. Gdy pisałem on był oficjalnie, zabroniony.

- Jakie są Pana najbliższe plany twórcze i nie tylko?

- Pracuję nad dwoma utworami: jeden to jest kwartet smyczkowy dla kwartetu „Szanhaj” i myślę również o napisaniu opery.

- Igrzyska olimpijskie w Pekinie 2008?

- Będzie utwór wykonany w czasie igrzysk olimpijskich, ale równocześnie z igrzyskami będzie festiwal, gdzie utwór też zostanie wykonany. Nie piszę na otwarcie jakichś fanfarów. Nie piszę dużo, piszę od dziecka, jeden utwór rocznie, ale robię to stale. Zawsze rano mam czas na komponowanie. Mam nadzieję na wiosnę z pieniędzy Unii Europejskiej zorganizować akademię, zwróconą na Polskę i Europę Wschodnią w celach kształcenia młodych zdolnych muzyków. Spodziewam się, że w 2009 r. utworzymy tę akademię. Rozliczone to jest na dużą ilość studentów. Zaczynamy od przygotowania sal koncertowych, rozliczonych na 600 miejsc. Jest to duża sala kameralna, na odludziu, na wsi.

- Co by Pan chciał przekazać dla Polaków we Lwowie?

- Myślę, że możemy wszyscy ze spokojem patrzeć w przyszłość, bo Europa idzie w dobrym kierunku.

- Dziękuję za rozmowę.

- Byliście tu kiedy? – chłopiec zatrzymał się pośrodku ulicy.

- Tak – mężczyźni odpowiedzieli równocześnie.

- A tam? – malec wskazał na wąski prześwit między kamienicami. – A tam, to wy byliście?

- Pokręcili przecząco głowami. Ulica świętego Michała wydawała im się zawsze krótsza i prostsza, nigdy wcześniej nie dostrzegali wąskiego przejścia.

- Nigdy się tu nie zaszwędał – mruknął Piotr.

- Ani ja – dodał miętoszając zarost Chryćko.

- No to, na co czekają. Dajcie rączki i chodźta, panowie, za winkil.

- Bez słowa zanurzyli się w chłodnym cieniu kamienic. Pachniało tu krochmallem, wilgocią i starą stęchlizną taką, jaką wyczuwa się we wszystkich nieuprzątniętych zaułkach.

- Po bruku poniewierały się gazety, na murze wisiał stary plakat, a w małym podwórzu suszyły się pranie.

- Tu mieszkam – pochwalili się chłopiec. – O! Widzicie, a tam schną moje sztaniety i szwinki. Wczoraj pływałem!

- Ale gdzie pływał, malec już nie powiedział, podekscytowany prowadził ich na kwadratowy plac. Słońce schowało się za chmurami i zaczął mżyć deszcz. Był to ciepły letni kapuśniaczek, obmywający pył i rozpluwający się na bruku wilgotnymi liniami.

- Widzicie te ruiny? – chłopiec wskazał na wyraźne zarysy budynku. – To synagoga. A te tutaj? – wśród rozłożystych krzaków róży lśniły cegły. – To kościół. Była też drewniana cerkiew, ale nic z niej nie zostało. Musicie uwierzyć, że

nie jestem pitolko i w niczym was, panowie, nie bajtluję.

- Zdziwieni pokiwali głowami. Żaden z nich nie słyszał o tym placu i nigdy nie widział tu żadnej świątyni, ale nie odezwali się.

- Kwiaty, też, zresztą, mam z tego ogródka – Malec uśmiechnął się. – Ale to nieważne. Panowie, panowie drodzy, zaraz pomyślicie, że ja jakiś bajerant i te sprawy. Nie, nie i jeszcze raz nie. Ja raczej bajtrus i absztyfikant. Cymes – chłopiec cmoknął złożone palce. – Wiecie, co się tu stało?

- Mężczyźni zaprzeczyli, a że kręciło im się w głowach, usiedli na mokrej ziemi, wsłuchując się w słowa chłopca. - Jewropa! Słyszałem to: Jewropa i Jewropa. Nie Ukrajina, a Jewropa, nie Lwów, a Kraków, Warszawa, Poliszcz. A co oni tam takiego mają? Tak, wiem, centy mają, grajarcy! Piniądze! Ale panowie, czy mają Lwów? Nie mają.

- Chłopiec wskazał na zarys synagogi i rozplakał się.

- Nie uwierzcie – ciągnął chlapiąc. – Dziadek był Żyd, rabbi, nie rabbi, ale Żyd. Wuj był katolik, a matka jest unitka. Teraz choreńka i leży w łóżku, już dawno mówili na nią dryćpa, ale nie chce stąd jechać. Powtarza, że to jest jej Lwów. Rozumiecie panowie, o czym ja mówię? Ja nie gieltuję się, o nie, wybaczcie jeśli tak to wygląda. Ale ja płacę.

- Chryćko wstał i przytulił chłopca. Poczł ciepło jego oddechu na twarzy i jeszcze raz powiódł spojrzeniem po brudnych murach kamienic.

- Co mi po tym? – odezwał się ponuro. – Co mi po sercu, jak serce umrze? Tu

taki rząd, tam inny, ale w Poliszczu nikt nie nazwie mnie buchaczem. Obiecuję, że nim nie będę.

- Piotr pokręcił głową. Z bocznej uliczki wyszedł rabbi. Długa broda i czarny strój tworzyły niesamowitą atmosferę.

- W tym domu – odezwał się – skrywałem się w czterdziestym drugim. We Lwowie.

- Rabbi zniknął, a na jego miejscu pojawił się pop. Znowu zapachniało wośkiem i kadzidłem.

- Tu odprawiałem msze ukraińskiej armii. I tu błogosławiłem Polaków.

- Pop rozplątał się i pojawił się zgarbiony ksiądz. Poprawił koloratkę i podszedł do mężczyzn.

- Biblia mówi: Semper Fidelis.

- W tym momencie kontury świata zamazały się jak we mgłę i niesamowite uczucie minęło. Mężczyźni popatrzyli po sobie. Roztrzęsieni wsłuchali się w odgłos kroków na uliczce.

- To moja szwestra – odezwał się malec. – Małgorzata.

- Na plac weszła chlapiąca dziewczynka. Złote włosy miała związane czarną kokardą, a z wielkich oczu ciekły łzy.

- Mama umarła – szepnęła łamiącym się głosem. – Mama...

- Chłopiec poważnie popatrzył na przyproawdzonych mężczyzn.

- Na szczęście we Lwowie też umierają ludzie – powiedział i powoli odszedł w stronę swojego podwórza.

Lwów 15 IX 2007

WOJCIECH KRYSIŃSKI

DZIEJE BUKOWINY

Gazeta Polska Bukowiny

Po prawie 100 latach do rąk polskojęzycznego czytelnika Bukowiny trafiła odrodzona „Gazeta Polska”. Gazeta, której pierwszy numer wyszedł 30 lipca 1883 roku w Czerniowcach. Staraniem Obwodowego Towarzystwa Polskiej Kultury im. Adama Mickiewicza we wrześniu 2007 roku Gazeta ponownie znalazła się w kioskach i w Domach Polskich Bukowiny.

Ta wspaniała nowina dała impuls do przypomnienia historii Bukowiny i historii Polaków na Bukowinie, z konieczności w skróconej gazetowej formie.

Drugim impulsem do napisania jest milczące założenie aktualnych władz ukraińskich i rumuńskich, że Bukowina to de facto okręgi czerniowiecki i suchawski, co nie do końca jest zgodne z historią ziemi bukowińskiej i ukształtowanej za czasów C.K. Monarchii Austro-Węgierskiej świadomości społeczeństwa wieloetnicznego, wielojęzycznego, tolerancyjnego i jak na owe czasy demokratycznego, ale bez dążenia do utworzenia własnej państwowości i własnego narodu.

Trzecim i następnymi – istniejące w odniesieniu do terytorium Bukowiny zjawisko kresów i kresowości, tak różne jak różne etnosy je postrzegają. Zmiany, które zaistniały wskutek drugiej wojny światowej, a po 1989 „jesień ludów” i nowe spojrzenie na własne miejsce na ziemi, które dokonali Bukowińczycy i ci rodowici, i ci napływowi. Stosunek wysiedleńców, repatriantów i emigrantów; ich potomków do dzisiejszej Bukowiny...

Przystąpmy zatem do przypomnienia dawnych czasów...

Krótką historią Bukowiny

Na południe od Pokucia i Podola, na wschód od Pokucia i Siedmiogrodu, na zachód od Besarabii i Mołdawii i na północ od Mołdawii rozciąga się niewielka kraina zwana BUKOWINĄ. Nie widać jej prawie na mapie Europy, choć zajmuje powierzchnię 10 442 km².

Nazwa Bukowina jako oznaczenie jednostki administracyjnej nadana została temu regionowi przez Austrię i była tak długo używana urzędowo i powszechnie, jak długo trwało tam panowanie austriackie. Znana zresztą była wcześniej, jako oznaczenie połaci kraju, pokrytych lasem bukowym. Dziś została ona jako relikw po panowaniu austriackim, mimo podziału regionu między dwa państwa – dlatego też, używając tej nazwy, cały czas opisujemy region bukowiński, bez względu na jego aktualną przynależność państwową.

Besarabia – kraina historyczna, leżąca w Mołdawii pomiędzy Dniestrem, Prutem i wybrzeżem Morza Czarnego.

Pokucie – kraina historyczna, leżąca na Ukrainie nad górnym Czeremoszem i Prutem.

Podole – kraina historyczna, leżąca na Ukrainie w środkowym dorzeczu Dniestru i Bohu.

Mołdawia – kraina historyczna, leżąca w Rumunii, na wschód od Karpat, w dorzeczu Seretu i Prutu.

Siedmiogród – kraina historyczna, leżąca w Rumunii wewnątrz łuku Karpat.

Nazwa Bukowina

Ludzie od niepamiętnych czasów nadają nazwy najróżniejszym rzeczom. Te, które powiązane są z zamieszkiwanym



przez nich terenem, powstawały najczęściej jako oznaczenie, identyfikujące wyróżniające się twory przyrody. W naszym przypadku nazwa pochodzi od lasów bukowych, pokrywających duży obszar regionu. Słowo buk [buk], oznaczające nazwę drzewa, jest starosłowiańskim zapożyczeniem z germańskiego. Bukowina oznacza skupisko drzew bukowych, las bukowy. Już w pismach gospodarza mołdawskiego Romana I Muszata z lat 1391 - 1393 odczytujemy nazwę „bukowina”, nadaną obszarowi, leżącemu pomiędzy Prutem i Seretem, na północ od wsi Hliboka. Jan Długosz także w 1392 roku po raz pierwszy w polskim piśmiennictwie użył nazwy „bukowina” („bucovina minor”) na oznaczenie terenów później należących do Bukowiny. Oznacza to, że w XIV wieku nazwa ta funkcjonowała w języku potocznym i była na tyle znana, że zaczęła przenikać do języka oficjalnego – państwowego.

Po raz pierwszy określenia Bukowina użyto w formie nazwy własnej w traktacie, zawartym pomiędzy królem polskim Władysławem II Jagiełłą i królem węgierskim Zygmuntem I Luksemburskim w Lubowli (Stara Lubośnia, Słowacja) w 1412 roku. Traktat między innymi dotyczył sposobu podziału ziem bukowińskich pomiędzy Polskę i Węgry. Przy podziale kraju użyto określenia: „bucovina minor” dla ziem, leżących pomiędzy Seretem i Prutem, a „bucovina maior” dla ziem leżących pomiędzy granicą węgierską i Seretem.

W latach późniejszych nazwa występowała sporadycznie w różnych pismach, wśród których należy zwrócić uwagę na listy, pisane przez ambasadora Francji w Polsce, razem z Janem III Sobieskim, biorące udział w wyprawie przeciwko Turkom, który datował je, umieszczając w nagłówku miejsce postoju np.: „Bukowina, 9 września 1686 r.” W roku 1688 w atlasie Zojtera uwzględniono oddzielny powiat Mołdawii pod nazwą „Bukowina” ze stolicą w Suczawie. Zaznaczono tam dwa miasta: Suczawę i Seret; Czerniowce były wtedy dużą wsią. Nazwy „Bukowina” zaczęto używać oficjalnie, w celu odróżnienia Bukowiny od Mołdawii, począwszy od 1775 roku do końca „ery austriackiej”, czyli do roku 1918.

Bukowina jest zatem nazwą historyczno-geograficzną krainy, znajdującej się pomiędzy Mołdawią, Besarabią, Podolem, Pokuciem i Siedmiogrodem.

Podzielona jest obecnie na dwie części: południową i północną, co jest skutkiem II wojny światowej. Północna część znajduje się w granicach Ukrainy, a południowa – Rumunii.

Wczesna historia Bukowiny (IX wiek p.n.e. – IX wiek n.e.)

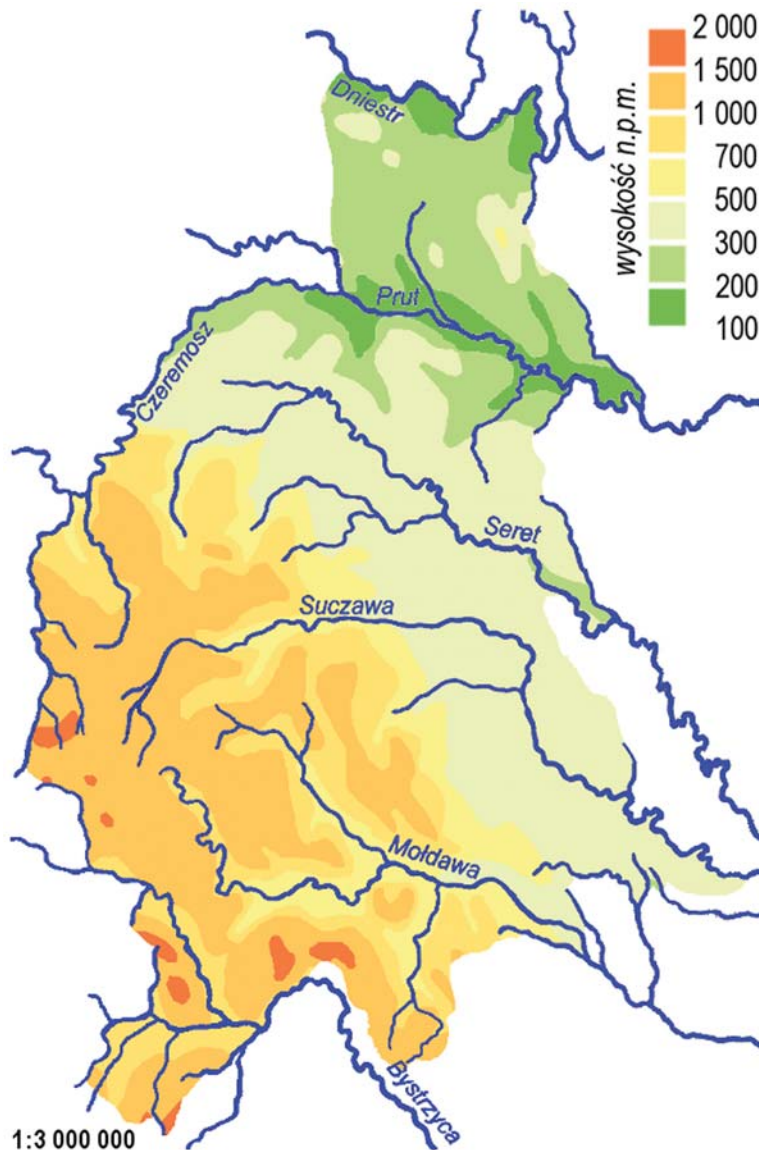
Pierwszym znanym etnosem, zamieszkującym te ziemie, byli Geci, lud pochodzenia trackiego, o którym wspomina Homer w 13. pieśni „Iliady”. Potwierdzają te spostrzeżenia późniejsi historycy i geografowie: Herodot, Strabon, Tukidydes. Opisy nieudanej siedemsettyściennej wyprawy Dariusza I (521 p.n.e. - 486 p.n.e.) w 513 roku p.n.e. przeciwko Scytom (wg Herodota) lub Getom (wg Strabona, Justyna czy Jordana) utwierdzają nas w przekonaniu, że na terenach pomiędzy Dniestrem a Dunajem żyli rzeczywiście Geci. W III w.p.n.e. kończą się greckie zapiski o kraju Getów, na który napadli koczowniczy Celtowie. Zajęli oni Panonię, spustoszyli Macedonię i Grecję, podbili i podporządkowali sobie także Trację i południową Gecję. W II w.p.n.e. na ziemie, leżące pomiędzy Dniestrem a Dunajem dotarli Sarmaci, plemiona koczowniczo-pasterskie pochodzenia irańskiego, którzy zaczęli zagrażać państwu Getów. W licznych potyczkach aż do II w.n.e. Sarmaci ostatecznie zostali pokonani, a później połączyli się i zasymilowali ze Słowianami.

Około 185 roku p.n.e. wśród Getów pojawiło się nowe plemię – Bastarów, pochodzenia celtycko-geckiego, którzy osiedlili się na północ od Dunaju na terenach dzisiejszej Mołdawii, Bukowiny i Pokucia. Ich sąsiadami były dwa inne plemiona geckie – Bessowie i Kaprowie. Przymusza się, że Bastarowie byli potomkami tych Celtów, którzy po walkach na Bałkanach osiedlili się w Tracji. Walczyli oni razem, jako wierni sojusznicy, przeciwko Sarmatom i Rzymianom. Doprowadziło to z czasem do połączenia się Bastarów z innymi plemionami geckimi, a nazwę „Bastar” zaczęto stosować do ogółu Getów. Byli też sojusznikami Macedończyków w ich walce z Rzymianami. Po wojnie sześciolatniej, kiedy Rzymianie zajęli Macedonię (160 r. p.n.e.), rozpoczęli walkę z Ilirami i Trakami. Wojna trwała ponad dwa stulecia, aż w 73 roku p.n.e. rzymski namiestnik Macedonii, Lucjusz Lukullus, rozbił wojska koalicji Traków, Getów i Sarmatów, przy czym jedno-

cznie całkowicie rozgromił rodopskich Bessów.

Bezpośrednio po podboju Tracji w 73 roku p.n.e., na północ od Dunaju w źródłach historycznych pojawia się nowe plemię – Dakowie. Najprawdopodobniej były to resztki plemienia Bessów, którzy uciekli z Rodopów po walkach z Rzymianami. Wspomina o tym Owidiusz, przebywający na wygnaniu w Konstancji w 9 roku, który „często spotykał się z Samatami, Bessami (Dakami) i Getami”.

król dacki, rozpoczął planową walkę z Rzymem. Zajął Mezję (dziś Dobruża i Bułgaria), przegnał rzymskie załogi, zdobył kilka twierdz i umocnień. Zwyciężył idące z pomocą legiony rzymskie pod dowództwem cesarza Domicjana w bitwie na przełęczy Czerwonej Wieży [Tumu Rosu]. Po tej porażce cesarz rzymski Domicjan wysłał wojska do Dacji (89), wprawdzie zwyciężył pod Tapae, ale ostatecznie został pokonany, co zmusiło Rzym do zawarcia pokoju. Warunki zawartego pokoju były upokarzające dla Rzymian, którzy zobowiązali się płacić roczną daninę oraz dostarczyć wykwalifikowanych



W 44 roku p.n.e. rzymskie wojska pod dowództwem Juliusza Cezara (49 p.n.e. - 44 p.n.e.), wyruszyły na podbój Dacji. Na czele państwa Daków stał wtedy król Burebista (70 p.n.e. - 44 p.n.e.). Dacja przeżywała okres największego rozkwitu – kraj rozciągał się od Bałkanów na południu do Dniestru i Ziemi Halickiej na północy, na wschodzie do rzeki Boh wpadającej do Morza Czarnego, a na zachodzie do Dunaju w Panonii. Dacja liczyła wtedy dwa miliony ludności. Niestety, Burebista został zabity w wyniku spisku, a że w tym samym czasie również Juliusz Cezar zginął z rąk spiskowców, ostateczna rozprawa pomiędzy Rzymem i Dacją została odłożona na prawie półtora wieku. Po śmierci Burebisty Dacja rozpadła się na szereg mniejszych części, z których północną z powrotem zajęli Geci, podporządkowując sobie sąsiadujących z nimi Daków i wspólnie nękać Rzymian. Spowodowało to, że Rzymianie wszystkie plemiona osiedlone na północ od Dunaju zaczęli nazywać Dakami.

Do roku 86 stosunki rzymsko-dackie należy ocenić jako ciągłą wojnę podjazdową. Rzymianie napadali Dację w celu zdobycia niewolników, a Dakowie po przekroczeniu leżącej na południu państwa rzeki Dunaj niszczyli wszystko, czego nie dało się zabrać jako łup na północ. O tych napadach pisali Owidiusz i Tacyt. Dopiero w 86 roku Decebal (87-106),

robotników i rzemieślników. Tych ostatnich Decebal wykorzystał przy budowie nowych umocnień i twierdz na granicy z Rzymem. Daninę Rzymianie płacili do 98 roku, kiedy to cesarzem został Trajan (98-117).

W 101 roku na czele 80-tysięcznej armii Trajan wyruszył na podbój Dacji. Dotarł do stolicy Sarmizegetusy i zmusił Decebala do poddania się. Decebal jednak nie zrezygnował i rozpoczął nowe przygotowania do wojny. Trajan w odpowiedzi kazał postawić kamienny most na Dunaju i w 105 roku po raz drugi wyruszył przeciwko Dakom. W ciężkich walkach Dakowie stracili większą część swojego kraju. Decebal popełnił samobójstwo, a Trajan wysłał jego głowę do Rzymu. Dakowie nie poddali się jednak Rzymianom, lecz masowo przesiedlili się na północ, zasiedlając tereny dzisiejszej Huculszczyzny, Bukowiny i północnej Mołdawii.

Na miejsce Daków Trajan przesiedlił osadników z całego imperium Rzymskiego (*ex toto orbe*). Mimo to dackie napady nie ustawały i Rzymianom trudno się żyło na zdobytych terenach. Było to tak uciążliwe, że już następcą Trajana, cesarz Hadrian (117-138), zamierzał wycofać się z nowej rzymskiej prowincji, „Dacji Trajana”. Ciągły nacisk Daków spowodował, że Rzymianie uczynili to dwuetapowo w latach 271 i 272, kiedy to cesarz Aurelian (270-275) całkowicie wycofał wojska i przeniósł

osadników z Dacji do Mezji, na południe od Dunaju. Lecz nie należy wierzyć w powszechną ewakuację ponad miliona osadników. Nie ma żadnych wzmianek o tak wielkiej liczbie ludzi, przybyłych do Mezji! Najprawdopodobniej prowincję, której zasoby dóbr naturalnych znacząco zasilili skarbiec Rzymu, opuściło wojsko, notable i niektórzy bogaci kupcy. Oficjalnym powodem porzucenia ziemi były niustające napady sąsiednich narodów na „Dacia Felix”, jak też przenikanie od wschodu koczowniczych Gotów (Wizygotów).

Rozpatrując dane historyczne i archeologiczne, można stwierdzić, że Rzymianie nie przekroczyli łuku Karpat i nie przedostali się na Bukowinę czy północną Mołdawię. Tereny dzisiejszej Bukowiny zamieszkiwały w dalszym ciągu plemiona geckie: na północy – Bastamowie, zaś na południu – Targowie.

Na te tereny, począwszy od III wieku n.e., zaczęły napływać koczownicze plemiona ze wschodu i w drugiej połowie III wieku ziemie pomiędzy Dniestrem i Dunajem zajęli Wizygoci. Był to początek wielkiej wędrówki ludów. W 375 roku naddągnęli Hunowie, niszcząc wszystko po drodze. Ich państwo rozpadło się po klęsce Attyli (434-453) na Polach Katal w 451 roku, nie zostawiając po sobie śladu. W VI wieku na tereny Bukowiny dotarli Awarowie, którym zawdzięczamy popularyzację strzemion końskich w Europie. Opanowali oni środkową Europę i zostali pokonani dopiero w 797 roku przez Karola Wielkiego. Również przez Bukowinę w drugiej połowie IX wieku (896) przechodziła horda azjatyckich Ugrów (Węgrów). Na początku X wieku przeszli Pieczyngowie, którzy szybko zostali przepędzeni przez inny lud koczowniczy – Polowców (Kumanów).

Nie należy przy tym zapominać o plemionach słowiańskich, które, począwszy od IV wieku, zaczęły przenikać na tereny dzisiejszej Bukowiny. Byli to Antowie, pochodzący z terenów, leżących pomiędzy Dniestrem a Dnieprem, zajmujący ziemie na południe od Cisy i walczący z Hunami, a potem – z Awarami. Na początku VII wieku Awarowie pokonali Antów, których niedobitki przeniosły się na północ od Morza Czarnego, gdzie w ciągu dwóch następnych wieków formowały się różne plemiona. Po zakończeniu procesu tworzenia się plemion, w rejonie Bukowiny powstało plemię Tywerów, którzy nazwę przyjęli od irańskiej nazwy Dniestru (tywer – szybki).

Bukowina pod władaniem książąt ruskich (885 – 1340)

Państwowość, kształtująca się na tej części ziemi Tywerów, gdzie później będzie rozciągała się Bukowina, określiła jej przynależność do powstającej Książęcej Rusi Kijowskiej. Najprawdopodobniej, książę Oleg przyłączył w latach 885-907 ziemie zamieszkałe przez Tywerów do Rusi. Wiemy tylko tyle, że źródła pisane, określające skład wojsk ruskich w 885 roku, nie wymieniają w ich składzie Tywerów. Przez 22 lata nie ma żadnych innych informacji na ich temat. Zostali wymienieni dopiero w 907 roku w składzie wojsk ruskich, idących na Bizancjum.

Począwszy od księcia Askolda (856-882), a skończywszy na Mścisławie I Wielkim (1125-1132), w okresie ponad 250 lat panowanie książąt, najpierw obieralnych, potem dziedzicznych, w wyniku szeregu wojen doprowadziło do rozkwitu Rusi za czasów Włodzimierza Wielkiego (980-1015) i Jarosława I Mądrego (1019-1054). Jednak, olbrzymie tereny od Przemysła

do Kaukazu i od Połocka do Morza Czarnego były trudne do zarządzania ze względu na samowolę bojarów, co było główną przyczyną rozpadu największego ówczesnie państwa europejskiego.

Część zachodnią, do której przeniósł się ośrodek władzy państwowej, powoli wyodrębniła się i powstała Ruś Halicka. Graniczyła ona od północy z Wołyniem, od zachodu – z Polską, od południa – z Karpatai, od południowego zachodu – ze stepami czarnomorskimi i Dunajem, a od wschodu – z ziemiami Księstwa Kijowskiego. Książę Wasylko Rościsławowicz (1084-1124) spowodował osiedlenie się ludności pomiędzy Dniestrem, Prutem i Seretem, na terenach dzisiejszej Mołdawii i Bukowiny. Za czasów księcia Jarosława Ośmiomyśla (1153-1187) silnie rozwijają się grody bukowińskie: Suczawa, Bania (Baia) i Seret.

Książę Roman Mścisławowicz (1199-1205) władający początkowo na Wołyniu, przyłączył do niego Podlasie, a potem – Ruś Halicką wraz z ziemiami przyszłej Bukowiny. Późniejsze walki z nawałą tatarską od 1223 roku, a potem jej marsz na zachód Europy (1238-1241), zakończony zwycięstwem nad księciem Henrykiem II Pobożnym pod Legnicą, spowodował, że książęta ruscy popadli w zależność od „Złotej Ordy”. Tatarzy po roku 1241 odłączyli ziemie pomiędzy dolnym Dnieprem a Karpatai od Rusi Halicko-Wołyńskiej i przekazali je pod swoją bezpośrednią zwierzchność. Reszta Rusi powoli ulegała rozdrobieniu na małe księstwa. Jednym z nich, obejmującym północną Bukowinę, stała się Ziemia Szypińska.

Pozostała część Bukowiny pozostawała pod zwierzchnością tatarską do roku 1342, kiedy to król węgierski Ludwik I pokonał Tatarów. Ustąpili oni na wschód, a na ich miejsce z Siedmiogrodu i Maramureszu przyszli watażkowie włoscy, którzy osiedlili się na dzisiejszych ziemiach południowej Bukowiny i dali początek Gospodarstwu Mołdawskiemu.

(cdn.)

Piosenka o Bukowinie

Kuka zazula, niech ją diabli,
Po całutkiej Bukowinie!
Kuka zazula pośród jodeł,
Słychać ją w Czerniowcach!

Bukowino płaju kwietny
Gdzie są twoi chłopcy?
Zabrano ich w obce kraje,
Ale wrócą wiosną.

Choć zabrani w obce kraje,
to powrócą wiosną.
I jak dawniej, gdy powrócą,
Dalej Ciebie kochać będą!

Gór grzebieniu rzadki
Zawsze stój na straży.
Jak ustanie twoja straż,
To przepadnie i kraj nasz.

Słowa i muzyka – ludowe,
wykonawca Grigorie Lee,
tłumaczenie Wojciech Krysiński
Nowa Wieś 2007.11.20

Ośrodek Caritas-Spes w Karpatach

Maria Basza
tekst i zdjęcia

Przyjęłam zaproszenie znajomych sióstr honoratek, pracujących w Jablownicy (woj. stanisławowskie) i, korzystając z przerwy świątecznej, pojechałam na kilkudniowy wypoczynek w góry. Jablunica mieści się w malowniczym zakątku Karpat, w odległości 35 km



Ośrodek Caritas-Spes w Jablownicy

od Jaremczy – głównego ośrodka sportowo-wypoczynkowego ukraińskich Karpat Wschodnich, przy trasie Lwów-Stanisławów-Mukaczów. Mogłam dowoli podziwiać wspaniałe krajobrazy: górę Magórę, górę Chomiak, Petros. Akurat w tym samym czasie w ośrodku Caritas-Spes, prowadzonym przez siostry, odbywały się rekolekcje oazowe małżeństw-animatorów, zrzeszonych w Ruchu Światło-Życie.

W ośrodku, mieszczącym się w Jablownicy, co roku wypoczywa, regeneruje swoje siły fizyczne i duchowe około 1000 dzieci. Przeważnie są to dzieci z terenów, skażonych promieniowaniem radioaktywnym, dzieci z różnego rodzaju chorobami nowotworowymi, dzieci-sieroty, dzieci z rodzin niepełnych. Odbywają się tutaj również rekolekcje oazowe dla młodzieży szkolnej, a także, jak obecnie – rekolekcje oazowe małżeństw-animatorów z Ruchu Światło-Życie. Przeważnie przyjeżdżają tu osoby w grupach zorganizowanych. Grupy te są zgłaszane w centrum Caritas-Spes Kościoła Rzymskokatolickiego na Ukrainie, centrum którego mieści się w Kijowie. Ośrodek otwiera swoje podwoje również dla osób spoza Kościoła Rzymskokatolickiego.

Małe Siostry Niepokalanego Serca Maryi, popularnie nazywane siostrami honoratkami, pracują, w jablunickim ośrodku od 2002 roku. Dyrektorem placówki jest s. Bernardyna Perec, księgową – s. Irena Mikulińska, s. Łucja Kuc pracuje jako pielęgniarka, s. Agnieszka Pantus – przewodniczka i manager. W kuchni zatrudnione są cztery osoby świeckie, podczas większych zjazdów pomagają kucharkom także siostry. Ośrodek zatrudnia kilku mężczyzn: elektryka, hydraulika. W 2004 roku w Jablownicy została otwarta kaplica pw. św. Zygmunta Gorazdowskiego.

Placówka powstała z dobrowolnych składek parafii niemieckich i z datków prywatnych. Również w tej chwili, dzięki dobrowolnym ofiarom z Niemiec i z Polski są odnawiane istniejące domki

(nie), w jakim celu przyjechali tu, do Jablownicy. Oboje małżonkowie, delikatnie uzupełniając jedno drugiego, opowiedzieli, że przyjechali na rekolekcje oazowe małżeństw-animatorów, zrzeszonych w Ruchu Światło-Życie. Jest w tym ruchu taka gałąź rodzinna, która się nazywa *Kościół Domowy*. Obecnie, w sześciodniowych rekolekcjach oazowych biorą udział rodziny z dziećmi w wieku od trzech do piętnastu lat. „Podczas obecnego zjazdu pary małżeńskie uczą się służenia innym” – podkreślili małżonkowie. Następnie państwo Andruszczyszyn opowiedzieli o swojej rodzinie, o codziennych obowiązkach, a także o praktykach religijnych. Rodziny, zrzeszone w *Kościół Domowy*, co miesiąc spotykają się ze sobą, aby dzielić się informacjami, które miały miejsce w ich domach, nie rozmawiają natomiast o polityce, bo „szkoda na to czasu” – zaznaczyła pani Weronika. Nie mniej ważnym punktem spotkań jest wspólna modlitwa oraz medytacja Pisma Świętego. Kapłan pomaga w wyborze tematu spotkania, jednym słowem – obejmuje rodziny całościową opieką duchową.



Siostry honoratki w swojej kaplicy zakonnej

mieszkalne, zbudowane w stylu górskim oraz buduje się większy, kilkupiętrowy budynek, przystosowany do zamieszkania w okresie zimowym.

Na moje pytanie – „ile kosztuje całodobowy pobyt w ośrodku?” – s. Bernardyna odpowiedziała: „jest to placówka charytatywna, nie pobieramy bezpośrednio żadnych opłat”. Aczkolwiek bez funduszy nie można się obejść. Niemalże kwoty są potrzebne, aby ogrzać budynek, spore środki pieniężne idą na wyżywienie. Ośrodek potrzebuje przynajmniej jednej zmywarki do naczyń, sprzętu audio-video, filmów dla dzieci i młodzieży.

Podczas przerwy świątecznej – 28 grudnia do ośrodka w Jablownicy przyjechały rodziny: z Chmielnickiego, z Gródka, z Baru, Murafy, Kamieńca Podolskiego, Braclawia, z Szarogrodu. Przyjechały 84 osoby, w tym – 21 małżeństw. Z rodzinami przyjechał również ksiądz, kleryk oraz siostry zakonne (anielanki).

Zapytałam parę małżeńską – Weronikę i Jana Andruszczyszyn z Gwardiejska (pow. Chmielnicki, woj. Chmiel-



Weronika i Jan Andruszczyszyn

Mile wspominam swój kilkudniowy pobyt w Karpatach. Jestem pod urokiem zaśniewanych gór, pachnących świerków, Prutu, częściowo zakutego pokrywą lodową. Nawet słońce świeci tu inaczej – pomimo kilkunastostopniowego mrozu, dzieli się z człowiekiem ciepłymi promieniami.

Osoby, które chciałyby wspomóc działalność Caritas-Spes Kościoła Rzymskokatolickiego na Ukrainie, w tym ośrodka w Jablownicy, szczegółowe informacje znajdują na stronie:

www.caritas-spes.org.ua,
e-mail: caritas-spes@catholic.kiev.ua
oraz pod nr telefonu/faksu:
00380-44-278 19 37, 278 17 84

Historia świątyń rzymskokatolickich

JURIJ SMIRNOW tekst
IGOR KACZOR rysunki

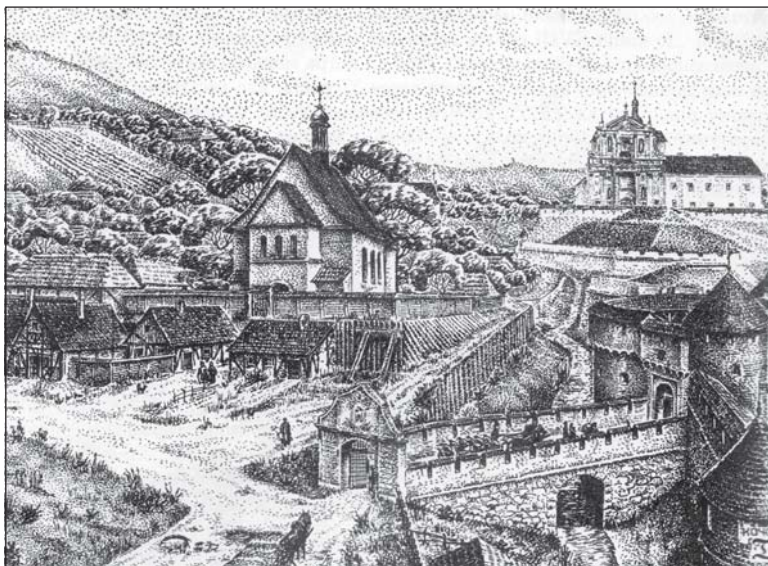
Ludność rzymskokatolicka mieszkała we Lwowie od czasów założenia miasta. Wtedy też powstały pierwsze katolickie kościoły, osiedliły się wspólnoty zakonne (dominikanów i franciszkanów), w roku 1375 powstało katolickie arcybiskupstwo Halickie, lecz na początku XV w. siedzibę arcybiskupów przeniesiono do Lwowa. W ciągu siedmiuset pięćdziesięciu lat istnienia miasta na jego terenie zbudowano setki świątyń, które pełniły różne funkcje i reprezentowały różne style architektoniczne.

Budowle sakralne oraz ich funkcje i znaczenie

Według hierarchii kościelnej różni się: katedry, świątynie parafialne, filialne i kaplice publiczne. Również wyróżnia się bazyliki, kolegiaty, fary. Ze względu na funkcje mogą być kościoły: klasztorne, zamkowe, cmentarne, uniwersyteckie itp. Szczegóły zewnętrznego, a zwłaszcza wewnętrznego wystroju i ozdoby kościołów regulowane są przez odpowiednie artykuły kodeksu

we współczesnym Kościele Katolickim.

Zgodnie z tradycją, kościoły orientowano, na osi wschód – zachód, przy czym część ołtarzowa zawsze była zwrócona na wschód. Każdy kościół składa się z dwóch najważniejszych części: prezbiterium, przeznaczonego w zasadzie dla kleru, nawy lub kilku naw, przeznaczonych dla wiernych. W prezbiterium znajduje się wielki ołtarz, tron biskupi, stalle kanoników.



Kościół Matki Boskiej Śnieżnej

kościelnego (KPK – Kodeks Prawa Kanonicznego).

Katedrą nazywamy główną świątynię diecezji, kościół biskupi (słowo katedra, katedra – znaczy stolica). W niektórych diecezjach istnieje również konkatedra – czyli druga świątynia katedralna.

Przy biskupach diecezjalnych istnieje kapituła – „senat biskupi”.

Kościół parafialny – to główna świątynia wspólnoty kościelnej albo parafii pod jurysdykcją księdza parafialnego – proboszcza.

Kościół filialny znajduje się na terytorium tej samej parafii, co i parafialny, ale jest od niego zależny i jest obsługiwany przez duchowieństwo parafialne. W kościele filialnym może znajdować się Najświętszy Sakrament i mogą być udzielane wszystkie sakramenty.

Od roku 1983 zgodnie z nowym KPK Kościoła Katolickiego kaplice publiczne w swoich funkcjach niczym się nie odróżniają od kościołów filialnych, ale są mniejszych rozmiarów i mają uproszczoną strukturę architektoniczno-funkcjonalną (w kaplicach, z reguły, jest ołtarz, nawa i wejście).

Bazylika – to kościół, który otrzymał specjalne przywileje papieskie (rozdzielamy basilicae maiores z tzw. ołtarzem papieskim i basilicae minores).

Kolegiata – to kościół, przy którym istnieje kapituła (kolegia) kanoników. Po katedrze kolegiaty zajmują drugie miejsce w hierarchii świątyń diecezjalnych.

Kościół fary (fara) – to w średniowieczu główny kościół miasta, który przebywał pod opieką bractw cechowych lub magistratu.

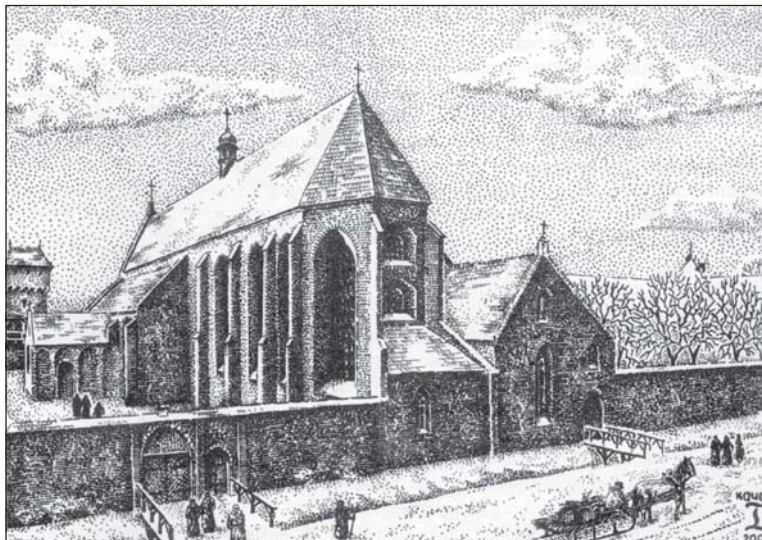
Kościół klasztorne, zbudowane przy klasztorach, w niektórych wypadkach mogą pełnić funkcje parafialnych. Ten zwyczaj był rozpowszechniony w średniowieczu na terytoriach nowoutworzonych diecezji i jest rozpowszechniony również

W chórze muzycznym – organy, w nawie – ambona, ławki dla wiernych, konfesjonały. W nawie również znajduje się czternaście stacji Drogi Krzyżowej. Najświętszy Sakrament może być przechowywany w ołtarzu głównym lub w jednym z bocznych.

Kościół św. Jana Chrzciciela i Matki Boskiej Śnieżnej

Za pierwszy kościół we Lwowie tradycyjnie uważa się kościół św. Jana Chrzciciela, który był zbudowany na przełomie XII – XIII w. Według innych danych – w 1234 r. lub 1247 r. Ten kościół był klasztorny i przebywał pod opieką oo. dominikanów, później mnichów ormiańskich – unitów, zwanych bazylanami.

Grubość ścian sięgała 0,9 m, fundamentów – 1,5 m. Legenda głosi, że żona księcia Lwa, królowna węgierska Konstancja została pochowana w krypcie tegoż kościoła. W 1650 r. przeprowadzono kolejną przebudowę świątyni. Pod koniec XVII w. zbudowano sygnaturkę. Po pożarze w 1799 r., kościół 37 lat stał ruiną. Odbudowę rozpoczęto dopiero w 1836 r. Wtedy powstała nowa aranżacja architektoniczna i nowe wyposażenie wnętrza. Zbudowano ołtarz główny i dwa boczne „skromne, drewniane, zielono pomalowane, zdobiło je nieco złoconej snycerskiej płaskorzeźby, po parę aniołków i kwiaty robione” (F. Łobieski). W ołtarzach i na ścianach ustawiono i zawieszono kilkadziesiąt obrazów, wszystkie niewysokiej wartości artystycznej i dwa XVIII – wieczne portrety dostojników kościelnych. W latach 1855 i 1860 pod kierownictwem miejskiego konserwatora dr S. Kunasiewicza przeprowadzono kolejne remonty świątyni. W 1856 r. zmontowano nowe organy. Nie zważając na przeprowadzony remont, kościół stał zamknięty i tylko raz do roku na św. Jana Chrzciciela był otwarty dla publicznego nabożeństwa. Stan techniczny murów był katastroficzny.



Kościół franciszkanów

W 1869 r. na nowo przebudowano ściany południową i północną na zachód od okien i ścianę zachodnią razem ze szczytem. Jednak wszystko to tylko chwilowo uratowało kościół przed zawaleniem się. W 1887 r. prof. Julian Zachariewicz sporządził plan przebudowy i rekonstrukcji świątyni. Prace powierzono firmie Jana Lewińskiego, nadzór techniczny sprawował architekt Tadeusz Munnich. Zasadniczą rekonstrukcję kościoła przeprowadzono od strony frontowej. Dobudowano nowy stylowy przedsionek, od frontu wysoki szczyt, na którym umieszczono monumentalny krzyż kamienny. W murze frontowym zaprojektowano okazałą rozetę o średnicy trzech metrów, obejmującą krzyż, wykładany kaflami. Wysoki dach pokryto dachówką wpustową, sprowadzoną z fabryki w Wienerberg pod Wiedniem. Trójkątne szczyty muru frontowego i przedsionka ozdobiono fryzem arkadowym licowanym czerwoną cegłą. Po II wojnie światowej kościół zamknięto, wyposażenie i ołtarze zniszczono. Część obrazów przekazano do muzeów.

Kościółem parafialnym Lwowa książecego był kościół Matki Boskiej Śnieżnej, zbudowany w XIII w. przez niemieckich kupców i rzemieślników, którzy osiedlili się w mieście. XIII – wieczna świątynia została zaplanowana na planie prostokąta, z centralną wystającą na zewnątrz absydą od strony wschodniej i wejściem od strony zachodniej.

Przy kościele działało bractwo, prawo patronatu było w rękach rady miejskiej. Kościół był farny, aż do przeniesienia parafii w 1415 r. do Katedry Lwowskiej. W 1763 r. arcybiskup W. Sierakowski podzielił Lwów na sześć parafii i jednym z kościołów parafialnych stał się kościół Matki Boskiej Śnieżnej. W 1772 r. ten sam arcybiskup nadał kościołowi prawa kolegiaty. To była trzecia kolegiata w Archidiecezji Lwowskiej. Przy kolegiacie działała kapituła, która składała się z trzech prałatów i trzech kanoników. W 1785 r. władze austriackie zlikwidowały status kolegiacki kościoła, który pozostał parafialnym aż do roku 1951. W tym roku został zamknięty, zgodnie z zarządzeniem nowej władzy sowieckiej miasta.

Kościół dominikanów

We Lwowie książeącym aktywnie działali dwa zgromadzenia katolickie:

dominikanów i franciszkanów. Mieli oni szerokie pełnomocnictwa w działalności misyjnej, otrzymane od papieża (często działali niezależnie od miejscowej władzy biskupiej).

Tradycja twierdzi, że kościół klasztorny oo. dominikanów założył św. Jacek Odrowąż w 1234 r. To była niewielka drewniana świątynia. W 1378 r. książę Władysław Opolczyk ufundował kościół murowany, zbudowany w stylu gotyckim. Obok dominikanów wzniesli klasztor. Możliwie, że autorem projektu i budowniczym był Mikołaj Niczko z Krakowa. Po pożarze w 1407 r. kościół był przebudowany z fundacji Mikołaja Benka i jego żony Anny z Żabokruków. Pożary w latach 1511 i 1527 miały katastrofalne następstwa dla kościoła. Świątynię i klasztor odbudowano wielkim wysiłkiem ojców i przy pomocy finansowej abpa Bernarda Wilczka. W końcu XVI w. na początku XVII w. przeor klasztoru Jan Baszczyk dobudował do klasztoru nowe skrzydło w stylu manieryzmu. W tym czasie w klasztorze znajdowało się więcej niż 100 mnichów. Zabudowania klasztorne zajmowały znaczny obszar i miały dwa dziedzińce wewnętrzne. Od roku 1612 Lwów był również stolicą nowoutworzonej „ruskiej prowincji” zakonu dominikańskiego. OO. dominikanie tradycyjnie kierowali działalnością trybunału inkwizycyjnego, a jego decyzje ogłaszano z jednego z balkonów klasztornych.

Dominikański kościół gotycki był świątynią o trzech nawach jednakowej wysokości. Sklepienie krzyżowe podtrzymywały cztery masywne filary. Prezbiterium było znacznie wydłużone w kierunku wschodnim, zakończone absydą, w której zbudowano ołtarz główny. Od strony zachodniej kościoła, na osi głównej nawy, znajdowała się kwadratowa wieża – dzwonnica, wejście główne do której zdobił portal gotycki, ozdobiony pinaklami z kwiatonami. Do kościoła przybudowano kilka kaplic z ołtarzami św. Piotra, Michała, Dominika, Anny, Matki Boskiej. W XVI w. do nawy południowej dobudowano kaplicę św. Zofii, a w 1606 r. lwowski podkomorzy Jan Swoszowski ufundował symetryczną kaplicę od strony północnej. Oprócz ołtarza wewnątrz zdobiły liczne nagrobki i tablice pamiątkowe. Wśród nich pochodzące z XVII w. alabastrowe posągi rycerzy, zakutych w zbroję – nagrobki J. Swoszowskiego, S. Włodka, W. Dzieduszyckiego, Chodorowskiego. W ołtarzu głównym znajdował się obraz

Matki Boskiej Zwycięskiej (XIV w.) i alabastrowa figurka Matki Boskiej Jackowej. W 1742 r. mury i fundament kościoła znajdowały się w stanie krytycznym, pojawiły się pęknięcia na sklepieniu, dlatego fasada groziła zawaleniem. W 1745 r. stary kościół gotycki został rozebrany i na jego miejscu w latach 1745 – 1764 zbudowano nowy, w stylu baroku według projektu architekta, kapitana artylerii koronnej, Jana de Witte.

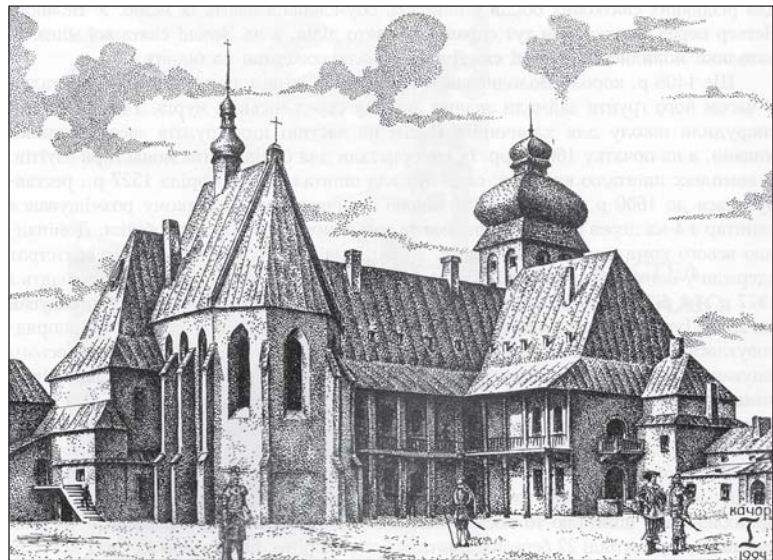
Kościół franciszkanów

Prawie jednocześnie z oo. dominikanami swoją świątynię i klasztor zaczęli budować oo. franciszkanie. Fundatorem ich klasztoru pw. św. Krzyża w 1363 r. był król Kazimierz Wielki. Dziesięć lat później Władysław Opolczyk nadał oo. franciszkanom nowe przywileje i dom obok Niskiego Zamku. Budownictwo świątyni gotyckiej zakończono na początku XV w. Znajdowała się ona przy samym murze obronnym w zachodniej części miasta, niedaleko Wieży Kramarzy. Kształty zewnętrzne kościoła były monumentalne i jednocześnie uproszczone, bez upiększeń i ozdoby rzeźbiarskiej. Przy kościele nie było nawet wieży – dzwonnicy. Część ołtarzowa znajdowała się od strony ul. Grodzkiej (dzisiejsza ul. Teatralna), a fasada i główne wejście – pod samym murem obronnym. Wydłużona część prezbiterialna dorównywała długości naw, których było trzy. Do naw bocznych dobudowano kilka kaplic. W podziemiach kościoła był pochowany arcybiskup halicki Jakub Strzemień (1391 – 1409) „ojciec i opiekun lwowskiej diecezji”. W 1790 r. papież Pius VI zaliczył go do grona błogosławionych. Przy kościele dla przechowywania relikwii bł. J. Strzemienia zbudowaną osobną kaplicę, w której umieszczono alabastro-wy nagrobek arcybiskupa. W 1785 r. jego relikwie przeniesiono do nowego kościoła, który oo. franciszkanie otrzymali przy ul. Kurkowej. Świątynia franciszkańska nie została zniszczona podczas pożaru w 1527 r., ale spłonęła w 1565 r. Odbudowana została w końcu XVI w., a już w XVII w. liczyła 15 nowych ołtarzy. W 1784 r. kościół i klasztor zostały zamknięte przez władze austriackie. Jeden z ostatnich zabytków Lwowa gotyckiego został przekazany na potrzeby teatru niemieckiego. Artyści występowali na jego scenie do roku 1842. Obok zbudowano sale rezydencyjne, w których odbywały się bale i lwowskie kontrakty. Podczas ostrzału Lwowa przez artylerię austriacką 2.11.1848 r. były kościół i wszystkie budynki obok zostały zniszczone i spłonęły. Ruiny kościoła rozebrano i na jego miejscu później zbudowano szkołę im. A. Mickiewicza.

Kościół św. Katarzyny

Do kościołów gotyckich Lwowa również należał kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Został zbudowany w XIV w. Był dobudowany do strony południowej zachodniego skrzydła Niskiego Zamku i pełnił funkcje kościoła zamkowego. Badacze uważają, że był zbudowany razem z zamkiem, rezydencją królów polskich we Lwowie, w 1362 r., jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego. Sklepienie dwunawowej podstawy kościoła opierało się o jeden masywny filar centralny. Prezbiterium składało się

z dwóch przęseł i było zamknięte absydą, które wychodziło na dziedziniec zamkowy. Wysokie ostrołukowe okna gotyckie przepływały ścianą prezbiterium i nawy. Wysoki dach z dwóch stron był ozdobiony gotyckim szczytem schodkowym. Ściany podpieraly filary przyporowe. W środkowej części dachu zbudowano niewielką sygnaturę. W 1570 r. kościół uległ uszkodzeniu pod-



Kościół pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej

czas pożaru. W 1485 r. król Kazimierz IV przeznaczył dla obsługi kościoła prepozyta i pięciu mansonarów, a od roku 1515 jeden z nich miał wygłaszać kazania w języku niemieckim. W 1548 r. król Zygmunt August zniósł na zarządzenie, „ponieważ w Niemczech bardzo szybko szerzy się uczenie Lutra”. 17.02.1785 r. abp F. Kicki kazał opisać majątek kościoła św. Katarzyny i przekazać wszystkie dobra innym świątyniom. Ostatecznie kościół został zamknięty przez władze austriackie w 1792 r. Ruiny kościoła rozebrano razem z Niskim Zamkiem w 1802 r.

Katedra Lwowska

Znaczącym zabytkiem lwowskiej architektury i historii miasta jest lwowski kościół katedralny (katedra) pw. Wniebowzięcia NMP. W 1344 r., namocy edyktu króla Kazimierza Wielkiego, w centrum miasta rozpoczęto budownictwo kościoła parafialnego Trójcy Przenajświętszej. Ta drewniana świątynia uległa zniszczeniu podczas pożaru w 1350 r. Nowy murowany kościół gotycki zaczęto budować między 1356 r. a 1363 r. Kronikarz lwowski, B. Zimorowicz podaje rok 1370 jako rok położenia kamienia węgielnego pod budowę katedry. W 1414 r. abp Jan Rzeszowski przeniósł stolicę archidiecezji z Halicza do Lwowa, a od roku 1415 kościół stał się katedralny i jednocześnie parafialny dla lwowskiej wspólnoty rzymskokatolickiej. Rozbudowa i przebudowa katedry trwała na przestrzeni lat jej długiej historii. W 1776 r. ogłoszono ją Sanktuarium Matki Boskiej Łaskawej, a od roku 1948 również Sanktuarium Miłosierdzia Bożego. 21.07.1910 r. Katedra Lwowska na podstawie dekretu papieża została podniesiona do rangi Bazyliki Metropolitalnej Mniejszej (basilicae minores).

Kościół Świętego Ducha

Z XIV w. pochodził również mały kościół Świętego Ducha, zbudowany na placu o tej samej nazwie (obecnie plac Iwana Pidkowsky). W 1377 r. książę Władysław Opolczyk ufundował szpital, a w 1430 r. (wg B. Zimorowicza) zbudowano kościół, pozwolenie na budownictwo którego nadał papież Marcin V jeszcze w 1417 r. Był to kościół jednonawowy, bez absydy, z wysokim dachem gotyckim i sygnaturką. Do kościoła dobudowano szpital, z fasadą od ul. Grodzkiej (obecnie ul. Teatralna). Od

roku 1382 obok istniała szkoła miejska (D. Zubrzycki natomiast wskazuje 1444 r. jako rok założenia szkoły). Podczas pożaru w 1567 r. świątynia uległa uszkodzeniu. Na początku XVII w. dzięki staraniom mieszczan kościół był starannie odnowiony i po przebudowie w 1649 r. powtórnie poświęcony. W końcu XVIII w. budynki na placu Św. Ducha znajdowały się w stanie katastroficznym.

Inżynier austriacki P. D. Gibaut, obejrząwszy kościół i szpital, odnalazł w murach szerokie szczeliny. Sklepienie w całości oddzieliło się od ścian bocznych i groziło zawaleniem się. Północna ściana kościoła nachyliła się i była podparta drewnianymi kłodami. P. Gibaut stwierdził, że świątynię odbudować się nie uda i w 1789 r. władze austriackie wydały rozkaz o rozbiórce kościoła i szpitala.

Świątynie klasztorne

W XV–XVIII w. na śródmieściu, a zwłaszcza na przedmieściach zbudowano kilkadziesiąt nowych kościołów. Z nich znaczną część stanowiły świątynie klasztorne. W opisie miasta za czasów abp. W. Sierakowskiego (1760–1780) historyk Maurycy Dzieduszycki naliczył „28 kaplic i kościołów należących we Lwowie do klasztorów, 12 świeckich kościołów obrządku łacińskiego, oprócz czterech ormiańskich i 13 ruskich cerkwi”. Wśród kościołów M. Dzieduszycki wspomina katedrę, kościół Świętego Ducha, św. Katarzyny na Niskim Zamku, na przedmieściach: kościoły Matki Boskiej Śnieżnej, św., Jana Chrzciciela, św. Stanisława, św. Wojciecha, Podwyższenia Krzyża Świętego, św. Łazarza, św. Marka i św. Zofii. Oprócz tego pod opieką kleru katolickiego albo bractw kościelnych znajdowało się pięć szpitali: św. Elżbiety, św. Stanisława, św. Łazarza, św. Ducha i wojskowy szpital przy klasztorze oo. bonifratrów.

Kościół klasztorne znajdowały się przy klasztorze: oo. jezuitów (kościół św. Piotra i Pawła, zbudowany w latach 1610–1630) misjonarzy (od roku 1747 w byłym kościele ormiańskim św. Krzyża na przedmieściu Krakowskim), paulinów (kościół św. Piotra i Pawła, zbudowany w latach 1776–1782, przy ul. Łyczakowskiej), trynitarzy przy ul. Krakowskiej (kościół pw. Trójcy Przenajświętszej, zbudowany w latach 1689–1731, był poświęcony w 1731 r. przez abpa Jana Skarbka). Trynitarze zbudowali na przedmieściu jeszcze jeden kościół św. Mikołaja. Drewniana świątynia była poświęcona w 1694 r. Z cegły kościół zbudowano w latach 1739–1745. Ojcowie augustianie osiedlili się na przedmieściu Krakowskim przy kościele św. Anny, który był zbudowany w 1505 r. Owa drewniana świątynia spłonęła w 1509 r., była odbudowana z cegły, a w 1673 r. przebudowana w stylu barokowym.

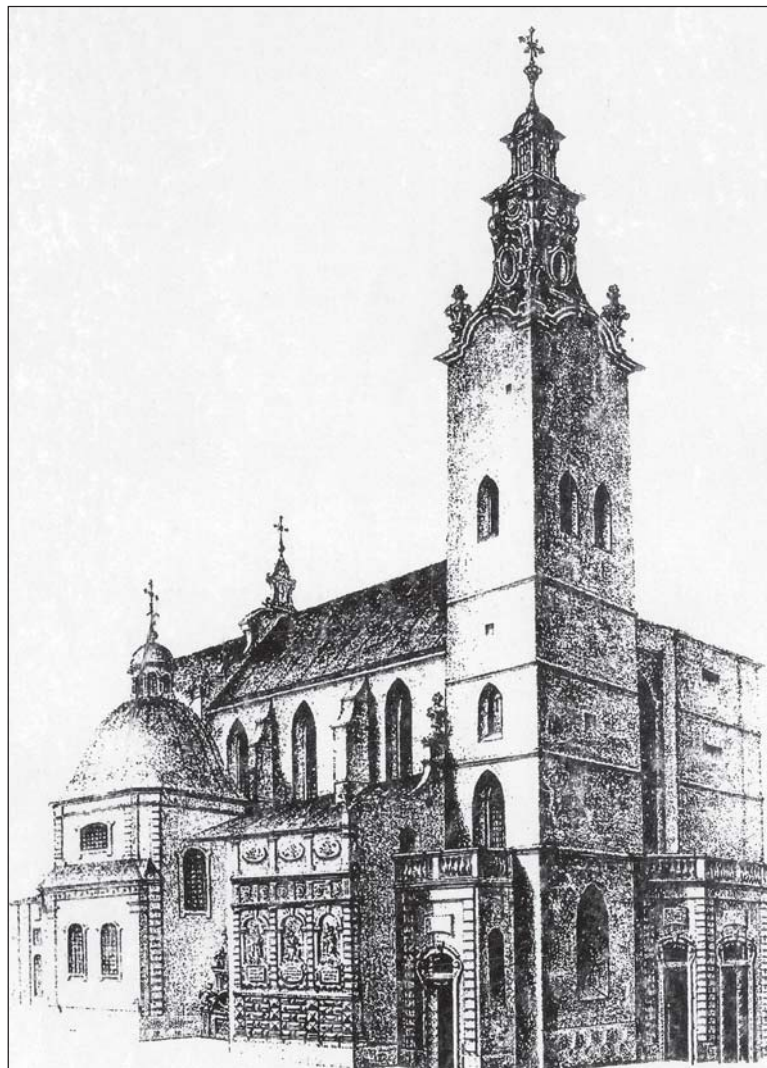
OO. bonifratrzy zbudowali kościół św. Wawrzyńca i klasztor przy ul. Łyczakowskiej wg projektu inżyniera Karola Benoit i kapitana Adolfa Boja z Gdańska. Fundatorem budownictwa był król Jan III Sobieski. W 1696 r. kościół był poświęcony. Był to jedyny całkiem nowy kościół, zbudowany we Lwowie za czasów króla Jana III Sobieskiego

Kościół pw. św. Michała Archanioła był zbudowany przez karmelitów bosych w latach 1634–1642 i odbudowany po pożarze 1648 r.

W 1637 r. karmelici trzewickowi zbudowali swój kościół pw. św. Marcina Biskupa na dalekiej okolicy Lwowa, na przedmieściu Żółkiewskim. W 1700 r. kościół spłonął. Nowy murowany kościół i klasztor zbudowano w latach 1736–1753. Karmelici trzewickowi mieli we Lwowie jeszcze jeden kościół

W latach 1736–1745 zbudowano zespół 17 nowych ołtarzy barokowych, dzieło K. Kotschenreitera i rzeźbiarza T. Huttera, a wykonana w latach 1738–1740 polichromia była dziełem B. Mazurkiewicza i jego uczniów.

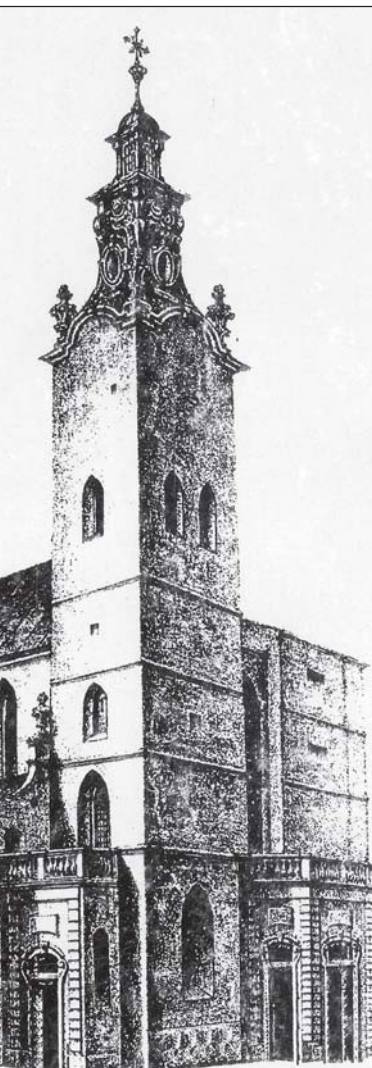
Kapucyni zbudowali swój kościół Niepokalanego Poczęcia NMP i klasztor na przedmieściu Łyczakowskim. Fundatorką w 1708 r. była księżna Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska. Surowe przepisy tego zakonu miały wpływ i na architekturę świątyni. To był jednonawowy kościół z wysokim frontonem i sygnaturką, bez wieży, fasadę zdobiły tylko okna i nisza w górnej części z figurą Matki Boskiej. Od strony południowej do kościoła dobudowano budynek klasztorny, zaś od strony północnej – dużą kaplicę. Ozdobą kościoła był obraz św. Rocha, pędzla Marcina Altomontego,



Katedra Lwowska

kościół św. Leonarda, zbudowany przed bramą Halicką przy dzisiejszej ul. Kniazia Romana. Kamień węgielny pod budowę świątyni został położony w 1619 r. Zabudowa kościoła i klasztoru posiadała fortyfikację, a właściwie wysoki mur i wał ziemny. Ale podczas oblężenia Lwowa w 1648 r. Kozacy wzięli klasztor szturmem i spalili go. Historyk I. Chodynicki pisze, że „dziewięciu mnichów zabito, czterech wzięto do niewoli, 120 innych osób w różnym wieku i różnej płci ...spalono, a 388 w samym klasztorze zamordowano”. W 1724 r. wzniesiono nowy kościół pw. Zwiastowania NMP. W 1769 r. był on znacznie uszkodzony przez konfederatów barskich. W 1784 r. klasztor zamknięto, a w 1876 r. rozebrano.

Ojcowie bernardyni zbudowali cały zespół klasztorny na przedmieściu Halickim na początku ul. Łyczakowskiej (Gliniańskiej) za miejskim murem. W 1460 r. bernardyni zbudowali drewnianą kaplicę. W 1509 r. wojsko hospodara mołdawskiego Bogdana III spaliło kościół i klasztor. Odbudowano kościół, klasztor znacznie rozbudowano. W 1600 r. podjęto decyzję o budowie nowego kościoła wg projektu Pawła Rzymianina. W 1609 r. kościół poświęcono św. Andrzejowi Apostołowi. W 1613 r. rozpoczęły się regularne nabożeństwa. Ozdobienie kościoła trwało do 1630 r.



nadwornego malarza króla Jana III Sobieskiego.

Reformaci rozpoczęli budownictwo kościoła św. Kazimierza i klasztoru pod Wysokim Zamkiem w 1630 r. Ziemię pod zabudowę otrzymali w darze od Stanisława Daniłowicza, a koszty – od Stanisława Mniszka. Pierwszy kościół był drewniany i spłonął w 1648 r. Budownictwo murowanej świątyni rozpoczęto w roku 1656 z fundacji Mikołaja i Urszuli Bieganowskich. Poświęcił go w 1664 r. abp Jan Tarnowski. Kościół i klasztor ufortyfikowano. Kościół w planie był jednonawowy z prostokątną absydą, murowany z cegły i ciosów kamiennych. Fasada główna w stylu barokowym, zdobiona była wysokim frontonem z wazonami kamiennymi i niszami z posągami świętych; na dachu nad ołtarzem zbudowano sygnaturkę. Do wejścia głównego dobudowano przedsionek (kruchte) z barokowym frontonem i wazonami kamiennymi.

OO. franciszkanie mieli we Lwowie dwa kościoły: jeden św. Krzyża, niedaleko Niskiego Zamku, drugi św. Antoniego na przedmieściu Łyczakowskim. Murowany kościół zbudowano w latach 1718–1720 z fundacji księcia Janusza Antoniego Wiśniowieckiego na miejscu drewnianej świątyni. 21. 06. 1739 r. kościół poświęcił bp S. Głowiński. Pomieszczenia klasztorne dobudowano

od strony wschodniej. Szczyt dachu wieńczyła barokowa sygnaturka. W latach 1902–1904 do gmachu po obu stronach przybudowano dwie symetryczne kaplice. Dość skromne ozdobienie barokowe fasady niektóre badacze przypisują autorstwu Fabiana Fesingera.

OO. dominikanie mieli we Lwowie trzy klasztory. Oprócz kościoła Bożego Ciała i klasztoru w mieście, jeszcze zbudowano dwa kościoły na przedmieściach: św. Marii Magdaleny przy ul. Sykstuskiej i św. Urszuli przy ul. Zielonej. Kościół Marii Magdaleny był zbudowany w latach 1609–1630. W drugiej połowie XVII w. dobudowano część nawy centralnej. W 1704 r. Szwedzi obrabowali i spalili świątynię. W latach 1753–1758 budowniczy Marcin Urbanik kierował odbudową i przebudową kościoła. 20. 09. 1758 r. powtórnego poświęcenia dokonał bp. S. Głowiński.

Fundatorem kościoła św. Urszuli w 1678 r. był Wielki Hetman Koronny Stanisław Jabłonowski. Prace budowlane trwały do 1685 r. Świątynia miała dwie wieże, oryginalną wkleśłą fasadę, o „chłodnym ozdobieniu” architektonicznym, charakterystycznym dla budowli mnichów-obszerników, odłamu zakonu dominikanów. Wnętrze zdobiono freskami Józefa Marra, nadwornego artysty Jabłonowskich.

Klasztory żeńskie we Lwowie

Żeńskich klasztorów we Lwowie było osiem.

Bernardynki (klaryski) miały swój klasztor i kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP na początku ul. Gliniańskiej (obecnie ul. Łyczakowska) od razu tuż przed murem obronnym klasztoru bernardynów. Na tym miejscu w 1584 r. dla sióstr zbudowano kaplicę św. Anny. D. Zubrzycki pisze, że w 1607 r. „zakończono i poświęcono kościół bernardynek przy ul. Gliniańskiej”. Autorem projektu był architekt Paweł Rzymianin. W świątyni było 11 ołtarzy, a w głównym znajdował się cudowny obraz Matki Boskiej Bolesnej, który siostry otrzymały w darze od św. Jana Kapistrana w Krakowie. Kościół zbudowany na przedmieściu uległ uszkodzeniu podczas oblężenia Lwowa w latach 1648, 1656, 1672 r. Najbardziej ucierpiała wieża – dzwonnica, w oknach której w 1672 r. Turcy ustawili swoje działa. W 1749 r. kościół rozbudowano, umocniono fundament i wieżę. W 1760 r. wnętrze ozdobiono freskami pędzla malarza Stanisława Strońskiego. Klaryski były pierwszym żeńskim zakonem katolickim, który osiedlił się we Lwowie.

Następne były benedyktynki, które w latach 1597–1616 zbudowały swój klasztor i kościół pw. Wszystkich Świętych na przedmieściu Krakowskim. Projekt tej świątyni również wykonał Paweł Rzymianin. Szczególną uwagę warto zwrócić na renesansową obronną wieżę – dzwonicę z atyką. Zespół klasztorny już w 1610 r. został ufortyfikowany. W 1623 r. podczas pożaru kościół został bardzo uszkodzony i jego odbudową miał się zająć architekt Jan Pokorowicz. W tym samym czasie dobudowano nowe murowane pomieszczenia klasztorne. Król Jan III Sobieski kilka razy odwiedził ten klasztor, wspierał sióstr materialnie, przekazał im w darze kilka wsi, sprzyjał organizacji przez benedyktynki w 1676 r. własnej jurysdykcji na podstawie prawa magdeburskiego, przeciwko czemu opowiadał się magistrat lwowski. W 1712 r. budynki benedyktynek uszkodził groźny pożar. Odbudowę kierował Marcin Urbanik. Od roku 1784 przy klasztorze działała szkoła dla dziewczynek.



SZYMON KAZIMIERSKI

Ziemia Kłodzka jest krainą, która obejmuje całą, należącą do Polski, Dolinę Kłodzką. Leży ona przy granicy z Czechami, prawie równo na południe od Wrocławia. Dolina jak gdyby wciska się rozległym, nieregularnym prostokątem w głąb czeskiego terytorium, powodując od razu widoczne zaburzenie w przebiegu równej do tej pory granicy.

Jak Ziemia Kłodzka znalazła się w Polsce

Ziemia Kłodzka nigdy przedtem nie należała do Polski. Od zawsze było to czeskie Hrabstwo Kłodzkie, które później, podobnie jak całe Czechy, zostało włączone do Austrii. Po roku 1871, po



Święta Wilgeforta z Wambierzyce

przegranej przez Austrię wojnie z Prusami o Śląsk, Hrabstwo Kłodzkie, pomimo tego, że nie należało do Śląska, zostało przez Prusaków odebrane pokonanej Austrii. Miało ono, bowiem, niezwykle przydatne do celów militarnych położenie wśród gór, co później Prusacy wykorzystali, budując tutaj kilka, do dzisiaj stojących, ogromnych fortyfikacji ziemnych i podziemnych. Po roku 1945 Ziemia Kłodzka wraz z całym terytorium ponemieckiego Śląska przypadła Polsce, ale wtedy zaczęli do niej rościć sobie prawo Czesi. Wobec ostrego stanowiska Czech, domagających się zwrócenia im Ziemi Kłodzkiej, Polacy odnowili pretensje do tak zwanego Zaolzia, czyli części Śląska Cieszyńskiego, które po I wojnie światowej zostało przyznane Polsce, ale które Czesi odbili atakiem czeskiego wojska i przyłączyli się do ówczesnej Czechosłowacji. W trakcie stawiania sobie przez obie strony konfliktu najrozmaitszych zarzutów, doszło do kilkudniowej wojny polsko-czeskiej, o której głucho w historii demoludów, choć Czesi użyli przeciwko Polakom nawet ciężkiej artylerii – pociągu pancernego. Słowa nie wolno było powiedzieć o polsko-czeskim konflikcie zbrojnym, bo w konflikt włączył się natychmiast Związek Radziecki, a ten nie życzył sobie wojen pomiędzy podległymi mu państwami. Zakazał strzelania i rozstrząsał, że granica ma przebiegać na Śląsku Cieszyńskim tam, gdzie była w roku 1920, zaś wokół Ziemi Kłodzkiej, jak przed rokiem 1938. W taki sposób Ziemia Kłodzka znalazła się w Polsce.

WILGEFORTA



Sanktuarium w Wambierzycach

Strzelanina pomiędzy Polakami i Czechami miała swoje następstwa. Polacy zemścili się na Czechach, mieszkających na terenie Ziemi Kłodzkiej, wyrzucając ich razem z Niemcami w trakcie wysiedlania ludności niemieckiej. Powstałe po wywiezionych pustkowiu zaczęli zasiedlać ludzie, przybywający z terenów Ukrainy. Tak realizował się zamysł Stalina o postawieniu Polski na rolkach i przepchnięciu jej możliwie daleko na zachód.

Figura ukrzyżowanej kobiety

Po Niemcach i Czechach dostało się wtedy Polakom ogromne Sanktuarium Maryjne w miejscowości, zwanej przez



Ołtarz świętej Wilgeferty w Pradze. Czesi nazywają świętą Wilgefortę – świętą Starostą!!

Niemców Albendorf, a przez Czechów - Vamberice. Modyfikując nazwę czeską, Polacy nazwali miejscowość – Wambierzyce. Sanktuarium naprawdę było ogromne i wspaniałe, bo oprócz bazyliki posiadało także Kalwarię z 74 numerowanymi kaplicami. Na terenie Sanktuarium wszystko było dla Polaków wiadome i zrozumiałe, dopóki nie podeszło się do kaplicy numer 57. W tej kaplicy każdy z polskich przybyszów doznawał szoku. Kaplicę zajmowała bowiem figura ukrzyżowanej kobiety! W dodatku ta ukrzyżowana kobieta miała brodę! (Obecnie figura ukrzyżowanej nie posiada już brody. Brodę zlikwidowano. Czemu? Chyba dlatego, że zbyt szokowała odwiedzających Kalwarię).

Napis u podstawy kaplicy, informujący, że jest to wizerunek świętej Wilgeforty, nie mówił niczego. Nikt przedtem nie słyszał o świętej Wilgeforty! W pobliżu nie było też nikogo z wysiedlonych, mieszkańców Wambierzyce, kto mógłby udzielić Polakom jakichś wyjaśnień. Wielu z przybyłych, nie rozumiejąc tego, co widzą, z rezygnacją



Wilgeforta portugalska – Liberada

zaczęło traktować figurę świętej, jako jeszcze jedną niemiecką makabrę tej wojny. Znaleźli się wszakże tacy, którzy zajęli się poszukiwaniem informacji na temat niezwyklej figury. Zbierając te informacje, ku swojemu zdziwieniu, stwierdzili, że nie ma jednej opowieści o życiu świętej Wilgeferty. Opowieści o życiu świętej jest wiele, tak samo jak bardzo wiele imion przybiera święta w zależności od kraju, w którym znajdowała swoich wyznawców. Więc może na początek przytoczę opowieść miejscową. Najbardziej utrzymaną w lokalnej rzeczywistości Ziemi Kłodzkiej, mówiąca, że Wilgeforta była córką barona von Schönau, rycerza wiecznie przebywającego na wyprawach krzyżowych. Wilgeforta wychowywała się praktycznie bez ojca, a że była dziewczyną bardzo religijną, w klasztorze niedaleko Broumowa (obecnie w Czechach) przygotowywała się do święceń zakonnych. Niespodziewanie powrócił z wojny jej ojciec. Nie wrócił sam, ale przywiózł ze sobą rycerza Wolframa von Pannewitz, któremu obiecał rękę swojej córki. Dla dziewczyny była to wiadomość tragiczna. Miała przecież niedługo zostać zakonnicą i sama myśl o małżeństwie wydawała się jej przerażająca. Starła się ojca przekonać, ale do niego nie trafiały żadne argumenty. Próbowała go błagać o pozwolenie na pozostanie w klasztorze, ale jej błagania nie przyniosły żadnego rezultatu.

W przededniu spodziewanego ślubu, dziewczyna, po całonocnej modlitwie do Jezusa z prośbą o pomoc, stwierdziła, że dokonała się w niej jakaś nadzwyczajna przemiana. Jej twarz zamieniła się w twarz Jezusa! Wszyscy zobaczyli to samo. Dziewczyna miała twarz Jezusa! Z brodą!

Von Pannewitz, jak niepyszny opuścił zamek barona, ani myśląc o

poślubieniu brodatej kobiety, a ojciec Wilgeferty, przekonany, że dziewczyna z niego zadrwiła, w szale gniewu dopuścił się strasznego czynu. Krzycząc, że skoro tak bardzo chce wyglądać jak Jezus, zginie tak samo jak Jezus, szaleniec rozkazał dziewczynę ukrzyżować, a gdy umarła na krzyżu, kazał ogolić jej brodę. Ale broda, pomimo ciągłego golenia, wciąż odrastała!



Wilgeforta hiszpańska – santa Liberata

Taka jest opowieść o świętej Wilgeforticie, jaką można było usłyszeć w Sudetach, na miejscu, tuż koło Wambierzyce. Czy ta legenda o świętej jest ze wszystkim zmyślona, czy też zawiera w sobie może jakieś elementy prawdziwych wydarzeń tak dawnych, że już zupełnie zapomnianych? – Kto wie? Wolfram von Pannewitz jest postacią historyczną. W latach 1296 – 1311 pełnił funkcję kasztelana zamku w Szprotawie koło Głogowa. W niedalekiej odległości od Szprotawy znajduje się miejscowość Kromolin. Niby nic, ale niemiecka nazwa Kromolina brzmiała – Schönau, a nazwisko barona - von Schönau, znaczy po polsku – pochodzący z Schönau.

Jeśli nawet pomiędzy oboma rycerzami dochodziło kiedyś do jakichś relacji, najpewniej nie dotyczyły one Wilgeferty. Twierdzi się bowiem, że kult świętej Wilgeferty w Wambierzycach zainicjował Daniel Paschasius von Osterberg, który, będąc pod wrażeniem oglądanej w Pradze rzeźby, przedstawiającej ukrzyżowaną dziewczynę, kazał wykonać jej kopię i tę właśnie kopię przywiózł do sanktuarium w Wambierzycach. Do Pragi Wilgeforta trafiła z Niemiec. W Niemczech też pojawia się drugie imię świętej – Kümmernis. Kümmernis oznacza po niemiecku zmartwienie, albo troskę. Trochę dziwne słowo, jak na imię dla świętej, ale mogło ono oznaczać raczej przydomek świętej Wilgeferty, związany z tym, że stała się ona patronką ludzi zmaltretowanych, zmartwionych, pograżonych w rozpacz, także patronką małżeństw trudnych i rozpadających się, jak również opiekunką dziewczyn i kobiet, nie mogących sobie poradzić z męską natarczywością. Jak bardzo było potrzebna takiej właśnie świętej, świadczy szybkość, z jaką rozchodził się jej kult po Europie i zasięg tego kultu, wychodzący daleko poza Europę. W każdym kraju, w każdym środowisku językowym nazywano świętą po swojemu, kompletnie inaczej niż gdzie indziej. Były więc, oprócz dwóch znanych nam imion jeszcze: Barbata, Comina, Comara, Liberata, Commorata, Eutropia, Dignefortis, Hulfe, Lisvrade, Starosta, Ontocommente, Reginfledis, Uncumber

i Wilga. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś znalazł jeszcze jakieś imiona świętej, o których ja nic nie wiem.

Opowieść o świętej, pochodzącej z Portugalii

Według tradycji, powszechnej w Europie niemiecko, franko i hiszpańskojęzycznej, święta pochodziła z Portugalii. Miała być szóstym z dziewięciorga dzieci króla Luzytanii, portugalskiej kolonii rzymskiej, usamodzielnionej po rozpadzie Imperium. Niewielu tam było wtedy chrześcijan, ale Wilgeforta, w odróżnieniu od całej swojej rodziny, była chrześcijanką. Nawet więcej. W swoich najświętszych zamierzeniach oddała się Jezusowi Chrystusowi, mistycznie zaślubiając Go w swoich modlitwach.

Ojcu Wilgeferty, walczącemu z naporem dzikich barbarzyńców, nie udało się pokonać swoich wrogów i postanowił połączyć się sojuszem militarnym z Królestwem Sycylii, który to sojusz trzeba było przypieczętować małżeństwem Wilgeferty z sycylijskim królem.



Włoska

Doszło do dramatycznej kłótni pomiędzy ojcem i córką, która odmówiła poślubienia Sycylijczyka, twierdząc, że jest już poślubiona Jezusowi Chrystusowi. Takie argumenty nie mogły trafić do pogańskiego ojca, uważającego protesty dziewczyny za swawolę i wracanie głowy. Ojciec zamknął ją więc, za karę do ciemnicy, sądząc, że gdy Wilgeforta trochę tam posiedzi, to albo zmądrzeje, albo na tyle się przestraszy, że nie będzie się już sprzeciwiała jego woli. Tak samo, jak to było w poprzedniej opowieści, Wilgeforta przez cały czas modliła się do Jezusa o ratunek, a gdy otworzono ciemnicę, okazało się, że ma ona na twarzy cudownie wyrosniętą brodę, co oczywiście wykluczało jej małżeństwo z niedoszłym sojusznikiem jej ojca. Wściekły na dziewczynę, ojciec rozkazał ją ukrzyżować. Kult świętej Wilgeferty rozszerzał się żywiołowo po całej Europie, ale i dużo dalej.

Święta, nie uznana przez Kościół

Z Portugalczykami docierał do Brazylii, a z Hiszpaniami – do Meksyku i Peru. Powstawały obrazy świętej, rzeźby, budowano kaplice i kościoły pod jej wezwaniem. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Kościół Katolicki nigdy oficjalnie nie uznał świętej Wilgeferty, a wielokrotnie ostro występował przeciwko przejawom czci do tej osoby, twierdząc, że świętej Wilgeferty nigdy nie było, że jest to osoba legendarna, bajeczna, nigdy nieistniejąca. Te oficjalne wystąpienia Kościoła niewiele znaczą wobec aktywności wiernych, przekonanych nie tylko o realności osoby Wilgeferty, ale także o jej niekwestionowanej świętości. Wilgeforta leczyła chorych,

przywracała ludziom spokój i chęć do życia, opiekowała się nieszczęśliwymi żonami, modlącym się przed jej ołtarzami dawała dobre rady. Była wielokrotnie bardziej skuteczna, niż wielu innych świętych, uznanych i polecanych



Francuska

przez Kościół. Agresywne czasami zachowanie wiernych zmuszało władze kościelne do przeciwstawiania się budowaniu w kościołach ołtarzy Wilgeforty, czy zawieszaniu w kościołach jej obrazów. Trzeba przyznać, że Kościół znalazł się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

Skoro jednak uznać, że Wilgeforta jest postacią nieistniejącą, jak sobie wytłumaczyć, że właściwie wszędzie przedstawiana jest w jeden tylko sposób, jako ukrzyżowana, brodata kobieta,



Kaplica świętej Liberaty w Hiszpanii

ubrana w bogate suknie. W dodatku z koroną na głowie. Skąd ta korona?

Krucyfiks z katedry w Lukka

Zaczęto się domyślać, że, być może, kult świętej Wilgeforty bierze się z mylnej interpretacji sławnego wizerunku „Volto Santo” z włoskiego miasta Lukka. W kościele katedralnym znajduje się tam, zwany przez wiernych właśnie „Volto Santo”, czyli „święte oblicze”, bardzo stary, pochodzący z VIII wieku krucyfiks. Jest ogromny. Jego wysokość ma 4,3 metra, długość poprzecznej belki 2,65 metra, a wysokość figury Chrystusa wynosi 2,5 metra. Przedstawia ukrzyżowanego Jezusa w złotej koronie, odzianego w długą i bogatą szatę, można powiedzieć – suknię i w złotych trzewikach, założonych na nogi. Jezus jest przedstawiony z otwartymi oczami i długimi

włosami, opadającymi na ramiona. We wczesnym średniowieczu tak właśnie przedstawiano Jezusa na krzyżu. Ubranego w długą szatę, z królewską koroną na głowie. Dopiero od jedenastego wieku zaczęto przedstawiać Jezusa w znany nam sposób. Jezusa nagiego, z przepaską na biodrach i w koronie ciemniowej. Katedra w Lukka od zawsze była ośrodkiem pielgrzymek. Pątnicy przybywali tu z całej Europy, a



Meksykańska

licznie rozpowszechniane przez pielgrzymów i kupców kopie krucyfiksu „Volto Santo” mogły stać się powodem, że zaczęto doszukiwać się w

Ubogiego grajka i Wilgeforty bez brody

Z krucyfiksem z Lukki związana jest legenda o ubogim grajku, który, grając i modląc się pod krucyfiksem, zauważył nagle, że jeden ze złotych trzewików Jezusa, spada mu pod nogi. Gdy go



Krucyfiks „Volto Santo” z Lukki

podniósł i próbował schować do kieszeni, został oskarżony o kradzież i zapewne zostałby surowo ukarany gdyby nie fakt, że gdy tylko zagrał ponownie, założony na nogę Jezusa złoty trzewik znowu spadał. Zgromadzeni wokół krucyfiksu ludzie zrozumieli, że Jezus w ten sposób chce obdarować grajka. Grajka puszczono więc, wolno, a incydent ze złotym trzewikiem był pierwszym cudownym wydarzeniem, jakie miało miejsce w obecności świętego krucyfiksu.

Identyczna legenda związana jest z kultem świętej Wilgeforty. Poznając podania o świętej, nie wszędzie jednak spotykamy się z postacią wędrującego grajka, a czasem uboższego pastuszka, przygryzającego ukrzyżowanej męczennicy i nagrodzonego przez nią zrucynym mu pod nogi drogocennym butem. Ale takie legendy są na tyle liczne i znaczące, że nie sposób ich nie uznać za modyfikację legendy krucyfiksu „Volto Santo”. Pomimo tego, że wszystkie opowieści o Wilgefortie mówią wyraźnie o brodzie, jaka wyrosła świętej dziewicy, można spotkać się z licznymi rzeźbami i obrazami przedstawiającymi Wilgefortę bez brody.

Być może świadczy to o oporach, z jakimi musiał walczyć, by w końcu im ulec, artysta, zmuszony do stworzenia wizerunku brodatej kobiety. Ale może to nie artysta, a zleceniodawca, w trosce o to by nie pogorszyć „maluczki” w taki sposób kazał modyfikować dzieło? Mamy przecież obowiązek ochraniać



Kościół świętej Liberaty w Peru

nich wizerunku ukrzyżowanej męczennicy. Trochę podobna pomyłka mogła spowodować również powstanie imienia świętej. Mogło się stać, że łacińskie określenie Virgo Fortis, czyli Dzielna Dziewica, przyjęto za imię – Wilgefortis.

„maluczki” przed nadmiernym wysiłkiem umysłowym, bo „maluczki” mają umysły „maluczkie”. Wypełnione po wierzch standardową informacją. W taki umysł już nic nowego, bez obawy pęknięcia, wejść nie może.

Źródła pochodzą od redakcji

Konkurs piosenki harcerskiej KOLEDA PRZYSZŁOŚCI

HELENA GOŁĄB tekst
MARIA BASZA zdjęcie

Harc mistrzyni naszego miasta, pani Krystyna Adamska powiedziała: „Dzisiejszy konkurs, co jest ewenementem, organizowali młodzi ludzie, a ja jedynie w ramach naczelnictwa jestem obserwatorem i członkiem jury. Bardzo mnie cieszy, że mogą to już sami robić”.

W dniu 3 stycznia 2008 r. w pomieszczeniu szkoły średniej nr 51 im.



Iwana Franki odbył się konkurs piosenki harcerskiej. Właściwie, zorganizowała go sama młodzież na czele z komendantką lwowskiego hufca Olą Detiuk. Udział brały patrole z drużyn harcerstwa polskiego na Ukrainie. Były to drużyny ze Zdobunowa (Wołyń), Chmielnickiego, Winnicy, oczywiście, lwowskie drużyny (między innymi, ze szkoły średniej nr 24 im. Marii Konopnickiej i nr 10), z Sambora, Rudek, Borysławia, Stryja. Były to głównie dzieci i młodzież w wieku harcerskim, czyli od 12 – 19 lat, około 75 osób.

Konkurs co roku zmienia się, np. w roku ubiegłym był w stylu balu wiejskiego, w tym natomiast główny temat – to nawiązanie do przyszłości. Program składał się z czterech części: kolęda przyszłości, piosenka marszowa, wiązanka z ulubionej piosenki harcerskiej i ostatnim punktem programu była scenka, głównym tematem której było „jak harcerze widzą swoją przyszłość?”. W skład jury weszli: Krystyna Adamska (vice – przewodnicząca HpnU), Wiktoria Klimientiewa, Leszek Aprilaszwili, Edward Mosesow, Lila Derko. Jak i zapowiadano na początku, przede wszystkim była to młodzież.

Rozpoczął się konkurs tradycyjnie od pozdrowienia osób prowadzących. Natomiast, nietradycyjne wykonanie kolęd przez harcerzy było bardzo zaskakujące. Podkład muzyczny był z różnych współczesnych piosenek znanych zespołów np. takich, jak „Cremberis”, a słowa samej kolędy były powszechnie znane. Chyba w taki sposób uczestnicy chcieli nawiązać do głównego tematu konkursu – „kolęda przyszłości”. Oczywiście, dla osób młodych to było atrakcyjne i zabawne, ale nie wiadomo, czy to by się spodobało naszym babciom i księżom. Jedynie drużyna ze Zdobunowa od razu na początku swojego wystąpienia zaznaczyła, że kolęda przyszłości jednak ma zostawać tradycyjną,

starą kolędą, taką, jaką wykonywały ją nasze babcie. Zapowiadanie występów kolejnych drużyn przebiegało w sposób luźny i śmieszny. Ogólnie można śmiało stwierdzić, że całe to przedsięwzięcie odbywało się w duchu raczej spotkania towarzyskiego, a nie ostrej rywalizacji, pomimo obecności jury. Jeżeli chodzi o organizację całego konkursu, zdarzały się niektóre niedociągnięcia, ale nie warto zbyt surowo osądzać młodzież, która robi tylko pierwsze kroki w tym kierunku. Po zakończeniu konkursu młodzież bawiła się na dyskotekce.

Harcerstwo – to polski system wychowywania dzieci i młodzieży wzorowany na skautingu, oparty o służbę, samodoskonalenie (pracę nad sobą) i braterstwo. Zasady postępowania harcerza wyznacza Przyrzeczenie Harcerskie i Prawo Harcerskie. Zasady

postępowania zuch wyznacza Obietnica Zucha i Prawo Zucha.

Harcerstwem nazywane są także organizacje harcerskie, pracujące w kraju i poza jego granicami (wśród Polonii zagranicznej), w oparciu o powyższe zasady i unikalną metodę harcerską.

Istotą różnicy pomiędzy ówczesnym „klasycznym” skautingiem, założonym przez gen. Roberta Baden-Powella a powstającym wówczas harcerstwem, Andrzej Małkowski ujął w słowach: **harcerstwo to skauting plus niepodległość**, aby podkreślić różnicę w ówczesnych priorytetach polskiego i światowego skautingu.

Dh. Andrzej Małkowski 22 maja 1911 r. we Lwowie, wydał pierwszy skautowy rozkaz, powołujący pierwsze drużyny polskich skautów. Data ta uważana jest za początek działalności Harcerstwa Polskiego. W 1918 r. ruch ten się zjednoczył i przekształcił w jedną organizację, Związek Harcerstwa Polskiego. Organizacja, którą każdy Polak kojarzy z dobrym wychowaniem patriotycznym i obywatelskim, Szarymi Szeregami, KIHAM, wspaniałymi obozowymi przygodami, osobami Andrzeja i Olgi Małkowskich, Stanisława Sedlaczka, Stanisława Broniewskiego, Aleksandra Kamińskiego. W 1949 r. organizacja została zniewolona przez władze komunistyczne i wykorzystywana do indoktrynacji politycznej (PZPR).

Harcerstwo polskie na Ukrainie powstało na początku lat 90., dzięki inspiracji i pomocy szkoleniowej Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Jeżeli chodzi o Lwów, to tutaj organizacją harcerstwa zajmowały się głównie Krystyna Adamska (vice-przewodnicząca harcerstwa Polskiego na Ukrainie) i Stefan Adamski (przewodniczący HpnU). Właśnie z ich inicjatywy 12. 05. 2007 r. przy ul. Kulparkowskiej, 22 otwarto Stację Harcerską.

RÓŻNIE MOŻE BYĆ

MAGDALENA KUROWSKA

Ewelina opowiadała nam o wycieczkach do lwowskiego zamku. Kiedyś chodziła tam z tatą i, jak była mała, myślała, że każde miasto musi mieć zamek taki, jaki jest we Lwowie.

- Ewelinko, to ty? - zaczęła moja współlokatorce jakaś kobieta. Okazało się, że jest z całą grupą turystów z Węgrzawy i że zna pana Witka. Myślała nawet, że pan Witek jest ze Lwowa, bo we Lwowie pan taki znany. Zamieniliśmy kilka zdań o tym, co już widzieli i co jeszcze mają zobaczyć. Pożegnaliśmy się.

- Wiesz, dlaczego mnie lubią? - spytał mnie pan Witek. Pokręciłam głową - lubię mnie, bo wiem, gdzie jest Węgrzawa na mapie. Ta kobieta ma syna i on już był tu ze trzy razy na plenerze, a teraz idzie na ASP.

Każdy, kto przyjeżdża do Kamieńca, musi mieć w swojej kolekcji zdjęcie twierdzy. Zrobić zdjęcie w dzień nie jest trudno, nocą zresztą też, ale mieć nocne zdjęcie zamku od środka - to jest prawdziwa sztuka! Mieliśmy idealne warunki: gwiazdy świeciły na niebie już dawno, a zamek był zamknięty. Mimo oczywistej przeszkody, jaką była kłódka, padła komenda: hajda na zamek! Przed bramą stał strażnik. Padła kolejna komenda: dziewczęta do boju. Na pierwszy ogień poszłam ja, Ewelina i Tania. Dwie pierwsze głupio się uśmiechały, a trzecia wytłumaczyła nasze zamiary. Połowa sukcesu została osiągnięta, ale męskie argumenty okazały się niezbędne. Pan Witek podszedł, wręczył, co miał do wręczenia, i weszliśmy. Chyba za dużo mu dałem. Ech, najwyżej koleżki postawi. Czy ty, Magda, widzisz, jak ja muszę się poświęcać, żebyś miała ciekawy reportaż!?! - zaśmiał się - Teraz musicie zrobić mi zdjęcie! Staną tak na baszcie i będę triumfował nad Turkami!

Później, dzięki wynalazkowi samowyzwalacza oraz sprawności Agaty i Łukasza, wszyscy zrobiliśmy sobie pamiątkową fotkę. Chodziliśmy po pustych, cichych, trochę strasznych i przede wszystkim niezmiernie ciemnych korytarzach. Schodziliśmy krętymi schodami, świecą sobie latarceczką z telefonu komórkowego. Z baszt rozciągał się niezwykle widok. Teraz wyobraźcie sobie na tym wzgórzu Turków, widzicie ich?

Działanie na dwa fronty

W niedzielę o trzynastej zaczęła się Msza. Usiadłam na ławce przed kościołem, by znów móc popatrzeć na ludzi. Między pochylonymi starszycami odbywał się istny slalom dość letnio ubranych dziewcząt i kobiet. W znacznej części były to turystki, które zwiedzały katedrę, ale ze względu na mszę nie śmiały do niej wchodzić i przeszkadzać w modlitwie. Wierni wydawali mi się tego dnia szczególnie wystrójeni. Według starego zwyczaju, cały tydzień można przeciw nieść się skromnie, ale do kościoła trzeba ubrać się elegancko. Wokół świątyni panował hałas i nie mogłam wyłapać konkretnej treści z trzęszących głosińców. Po jakimś czasie uroczyste stroje okazały się uzasadnione. Wyjątkowo modne osoby były po prostu gośćmi weselnymi. Najpierw wyszła jedna para. Wcześniej nie widziałam tam dzieci, ale wokół młodych w okamgnieniu zebrała się ich cała gromada. Nowożeńcom podano tacę pełną lakoci: cukierków, małych batoników i lizaków. Napęcie dzieci powoli rosło, a co sprytniejsi chłopcy już lekko przycykali, żeby mogli być w każdym momencie gotowi do podskoku. W końcu panna młoda zaczęła rzucać słodycze w tłumik. Dzieciaki szybko napychały kieszenie, flesze błyskały, a pan młody oczywiście pocierał swoją panią. Za kilka minut wyszła druga para. Sytuacja się powtórzyła. Z katedry wychodzili ludzie i wśród nich wyłapałam umówionego rozmówcę. Chciał jeszcze chwilę zostać z kolegami, więc mieliśmy się spotkać za dziesięć minut w stolówce Domu Pielgrzyma. Planu pokrzyżowała mi próba chóru, która właśnie tam i właśnie wtedy miała próbę. Pan Witek udostępnił nam swój pokój. Punktem wyjściowym naszej rozmowy były śluby.

Widziane „od środka” młodymi oczami

- Tutaj jest ten problem, że na wsi ludzie nie idą na studia, bo nie widzą takiej potrzeby. Wiesz, jeżeli chodzi o moje plany, to nie będę ukrywać, że najpierw muszę coś skończyć, żeby jakoś w życiu

(dokończenie z numeru poprzedniego)

od otoczenia. Są, za przeproszeniem, debile, którzy dziwnie patrzą na te sprawy i są ludzie normalni, z którymi trzymam. Kiedy wyjeżdżam do Polski, a potem wracam, to często myślą „no tak, wyjechałeś”. Jestem palaczem. Jak idziemy ulicą, to nie rzucam paczki na



stać. Praca, rodzina i byle dalej. Najczęściej młode rodziny mieszkają z rodzicami, a w Polsce zauważyłem, że nawet moi starsi znajomi jak nie mają na własne mieszkanie, to wynajmują.

- A jak jest z rozwodami?

- Teraz to jest więcej rozwodów niż ślubów. Istnieje taki stereotyp, że „muzyk”, czyli chłop, jak walnie w stół, to tak ma być. W Polsce zresztą trochę też, no bo w końcu Polacy - to też Słowianie. W mieście można zobaczyć w parku rodzinkę, jak sobie idą za rączki, ale to rzadkość. W Rosji jest jakaś dzikość. Tam w ogóle jest nie do pomyslenia, żeby młoda para, a starsza to w ogóle, razem spędzała więcej czasu, niż musi. Każdy ma raczej jakieś zadania. Żona siedzi z dziećmi i robi pranie - tak jest prawie w każdej rodzinie. Zauważyłem, że w Polsce i starsze pary, i młode działają bardziej partnersko, a nie na zasadzie hierarchii.

- Skoro już mowa o rodzinie: czy tu spędziłeś swoje dzieciństwo?

- Tak. Kiedyś były bardzo żywe śpiewania na osiedlach. Moi znajomi, moi koledzy... mówili, że Polak i to wcale nie było... wiesz... raczej mówili to z pogardą. Zawsze ja i moi bracia ze starszą siostrą (teraz wyszła za męża za Polaka i są w Irlandii) patrzyliśmy na to z dystansem, ponieważ w domu rozmawialiśmy po polsku i ten klimat podtrzymywał się w człowieku. Poza tym byliśmy nauczeni, że tak trzeba. To pomagało. Teraz już otoczenie moich najbliższych przyjaciół wyrosło i nie ma takich sytuacji, chociaż zdarza się czasem jakiś komentarz. Skończyłem polską szkołę i to otworzyło mi drzwi na uniwersytet. Dużo jej zawdzięczam.

- Czułeś się źle jako dziecko z rodziny polskiej?

- Trafiała w samo sedno. To raczej nie był dyskomfort. Czasami czułem, że wciąż jestem nie na swoim miejscu. To zależy

chodnik i to jest dla moich kolegów, jak oni mówią, „arystokracja”. Tłumaczę im, że to jest normalne zachowanie. Są kolosalne różnice w mentalności.

- W Polsce też rzucają.

- No tak, ale w Polsce jest dużo koszy na śmieci i nie idzie się z tą paczką w ręce pół miasta. Może, jak jest jakiś koncert na placu, to rzucają. Ja pewnie też bym rzucił, ale, żeby tak ktoś po prostu śmiecił, to nie widziałem.

- To chyba sprawa wychowania.

- Może i tak. Tak zostałem wychowany, ale w Polsce jest o wiele czystiej. Ulice są bardziej uporządkowane. Podobają mi się to. Kiedy widzę, że jest czysto, to ja nie będę zaśmiewał.

- Jakie jeszcze widzisz różnice? Czy coś się zmienia?

- Tutaj dużo się zmieniło. Postęp cywilizacyjny musi być, no ale jest powolny. Coś się tam kręci politycznie. Jedną stroną prorosyjska, drugą proeuropejska. Jest to dużym kłopotem, jeżeli chodzi o politykę w naszym kraju.

- Czy pomarańczowa rewolucja zmieniła coś w życiu codziennym?

- W moim oświadczeniu nic. W rodzinie zachowujemy się tak samo. Byłem na pierwszym roku, kiedy wybuchła pomarańczowa rewolucja i tak się złożyło, że z Ukrainy na roku jestem tylko ja. W Poznaniu na rynku był mały wiec poparcia i na wykładzie, kiedy jest cały rok, puściłem listę, że kto chce, może się tam pojawić o dziewiętnastej. Jak już mówiłem, zdarzali się „zli ludzie”. Na pewno coś w tym wszystkim jest. Oglądałem wtedy telewizję i naprawdę mocno się wzruszyłem, widząc te tłumy i to, że Ukraińcy wreszcie walczą o swoje. Tak się złożyło, że ta świadomość narodowa zawsze była kiegońska. Zawsze Ukraina była albo pod Rzeczpospolitą, albo pod Rosją, ZSRR, a i jeszcze były czasy austriackie. Nie było ducha przynależności, a teraz jest jego wielkie ożywienie. Po wyborze

Juszczenki, który był kandydatem, powiedziałbym, nawet proukraińskim, bo Janukowycz jest prorosyjski, prawie cała telewizja przeszła na język ukraiński. Teraz już jest więcej gazet i billboardów po ukraińsku. Ukraiński jest teraz na topie i jest trendy. Dla mnie dziwne i nie do pomyslenia jest, że u nas w parlamencie rozmawiają po rosyjsku. No, wyobraź sobie, żeby w Polsce ktoś po rumuńsku gadał. Cały ten problem wschodniej Ukrainy, z którym musimy żyć... Były nawet plany, żeby centrum i zachód oddzielić od wschodu, który ciągnie nas w dół i nie daje się rozwijać, ale władze uznały to za nie najlepszy pomysł. Dla mnie lepsze jest mniejsze państwo, a nie takie wahające się pomiędzy samym sobą, Zachodem a Rosją. Mieszkańcy wschodu wiedzą, że są Ukraińcami i na wiecach poparcia dla Janukowycza trzymali naszą flagę, ale mają inne poglądy. Trzeba to szanować, ale moi koledzy nie rozumieją, że mnie to wszystko dziwi. Ja rozumiem ludzi, którzy wychowali się w ZSRR z jednym językiem, ale bardzo nie lubię i bardzo mnie drażni fakt, że niektórzy nawet w samym Kijowie nie uczą dzieci ukraińskiego. Czegoś takiego nie ma na zachodzie. Naprawdę rozumiem starszych ludzi, bo oni od zawsze rozmawiali w tym języku, ale jakiś postępek musi być. Tyle.

- Czy na Ukrainie jest jakiś stereotyp Polaka i Polski?



- Co myślą Ukraińcy o Polakach, tak? Do niedawna Polska była krajem, gdzie można było dobrze zarobić, bo miała zupełnie inny poziom ekonomiczny i to było podziwiane. Polska też była krajem sowieckim i jakoś jej się udawało z tym poradzić. Wałęsa jest znany. Po pomarańczowej rewolucji stosunki polsko - ukraińskie uległy oziębieniu, bo Polska dużo pomagała. Kiedyś był taki program w telewizji, wywiady z Mariuszem Lewandowskim, oglądałaś może?

Na Wschodzie jest tak, że, póki pijesz z kimś wódkę, to jest OK, ale na trzeźwo Polak jest wrogiem numer jeden. Oni myślą, że Polacy znów chcą zagarnąć Ukrainę i zyczają się boją. Polak wzdryga tam agresję, ale tutaj nie. Kiedyś też było niezbyt miło, widzę moje dzieciństwo, ale z czego to wynikało, to ja nie wiem. Może to się bierze z obcości, bo, jeżeli Ukraińcy mają jakąś wizję swojego kraju, to myślę, że jako osoba pochodzenia polskiego nie rozumiem jej.

- Z tego, co mówisz, wynika, że działa tu zasada: nie znam, boję się, więc jestem agresywny?

- Tak, właśnie tak. Ja muszę działać i działam na dwa fronty. Kiedy jestem w Polsce, bronię Ukraińców. Kiedy jestem tu, to stoję po stronie Polaków. Nasuwa ci się pewnie pytanie, kim bardziej się czuję, ale ja nie umiem na to odpowiedzieć. Bardzo lubię i Polskę, i Ukrainę. Kibicuję obu krajom w dobrej drodze do przyszłości.

- Czujesz się dzieckiem granicy?

- Nie. Nie zastanawiam się czy jestem tym, czy tym. Czuję się fantastycznie będąc i Polakiem, i Ukraińcem. Polak obrażliwie to „przek”. Wzięło się to z tego, że wiele polskich słów zaczyna się na „prze”. Kiedy pijemy sobie z kolegami piwo pod ratuszem i przechodzą polscy turyści, to słyszę jak szepczą pod nosem: „O, przek idzie!”. Mnie to w zasadzie nie

przeszkadza. Staram się nie zwracać na to uwagi, bo te słowa nie są bezpośrednio skierowane do mnie. Natomiast, jeśli z kimś się kłóce i on nazywa mnie z pogardą „przekiem”, to nie ukrywam, że włącza mi się agresor. Nie jestem przyzwyczajony do takiego traktowania. Moi znajomi są świadomi tego, że jestem też Polakiem.

- A jak jest z religią?

- Tu jest inaczej. W Polsce katolicyzm jest historyczny. Rosjanie nie widzą różnicy między katolikiem a Polakiem - to są synonimy. Jest taki głupi stereotyp, że katolicyzm, to wiara polska, chociaż Kościół jest przecież powszechny. Na msze do cerkwi przychodzi same babcie. Jeśli chodzi o młodzię, to stanie kilka godzin w cerkwi wykracza poza ich możliwości. Następuje taka „chrześcijańska degradacja”. Natomiast Kościół katolicki wziął do sprytem i skrócił msze, wstawił ławki. Architektura też jest bardziej zachęcająca. Jeszcze Ci powiem, że wiara katolicka jest tutaj prawdziwsza, nie jest taka wymuszona. Jeżeli ludzie się modlą, to oni naprawdę to czują. W Polsce to się zdarza tylko wśród starszych. Tutaj często nie mówi się „cześć” albo „dzień dobry”, tylko „niech będzie pochwalony”. Choć wiadomo - wśród kolegów, to niekoniecznie... W Polsce procesja Drogi Krzyżowej to normalna, a w Kamieńcu widzę szacunek i podziw w oczach ludzi, którzy w niej nie uczestniczą, np. tych, którzy jadą samochodem i muszą nas przepuścić. No a w Polsce jak młodzież idzie do kościoła, to zachowuje się różnie...

- Kościół jest tu bardzo aktywny. Organizuje różne wyjazdy dla dzieci, itp. Opowiedz mi coś więcej, o jego działalności.

Hm, organizuje. Sam też w takich uczestniczyłem. Poza tym też polska szkoła bardzo z nim współpracowała. Teraz religię mają chyba po ukraińsku, ale kiedyś była przeprowadzana po polsku przez siostry zakonne. Dziś, nawet jeśli nie ma polskiej szkoły, to polskie dzieci zostały. Najpierw były plany, żeby język polski oddać w ręce Kościoła i żeby był tam nauczany. Twierdzili, że mamy kościół i on powinien nam pomagać. Szkoły nie ma, ale na szczęście są polskie klasy. W Polsce są organizowane msze dla studentów. Bardzo fajnie się czuję, widząc młode rodziny z dziećmi albo pary w kościołach. Kiedy jestem tu, to opowiadam o tych obrazkach z dumą. Moi koledzy mogą myśleć, że się wymądrzam, ale ja mówię im to tylko po to, by pokazać, że Polska nie jest gorsza.

- Kiedy zwiedzałaś mi, że nie chciałbyś zostawać w Polsce. Chcesz wrócić na Ukrainę. Dlaczego?

- Chciałbym tu działać. Chciałbym zrobić coś dla tysięcy Polaków. Może założę jakąś agencję turystyczną albo organizację. Pociąga mnie to, bo bardzo niski procent Polaków z Kamieńca, studiujących w Polsce, wraca - ok. 2 na 15. Wiele czynników się na to składa. Teraz nie mam dziewczyny, ale jak spotkam jakąś w Polsce, to nie wiem, czy chciałaby tu mieszkać. Mój brat został w Polsce.

- Masz bardzo ciekawe plany. Kobieta, która nas oprowadzała po Stanisławowie, była taką działaczką i mówiła o wielu trudnościach ze strony władz. Nie boisz się tego?

- No nie wiem. Nie znam aż tak bardzo struktury władz w Kamieńcu. Bardzo ważny jest kapitał zakładowy. W Polsce można się starać o jakiegoś sponsora czy pomoc, a tutaj nie. No nie wiem.

- Trzymam kciuki, żeby wszystko było w porządku. Czy Kamieniec Podolski, pomimo burzliwej historii, pozostał, choć w części miastem siedmiu kultur?

- Czasem można spotkać Ormianina, ale raczej rzadko się to zdarza. Oni w ogóle nie dbają o swoją spuściznę. Mają katedrę, a zupełnie się nią nie zajmują. Żydów chyba w ogóle już nie ma. Zostali Ukraińcy i mniejszość polska.

Stepy akernańskie

W Chocimiu miałam dużo wolnego czasu. Najpierw pan Witek wygłosił krótki wykład z historii pod pomnikiem Petra Sachajdacznego, a potem poszliśmy na zamek. Później wszyscy zajęli się pracą twórczą, a ja razem z Ulą chodziłam po dawnej twierdzy. We-

▷ rzecz dla człowieka, a dla Polaków niezrozumiała, bo dla was nie ma, żeby ktoś się nie wychowywał w religii. Mało osób umie to docenić. Gdybym ja z tą wiarą była wychowana, z mlekiem matki, a nie bylam... Nie rozumiem ludzi, którzy wiarę odsuwają na drugi plan. Tylko praca, kariera, zwykły byt – to nie jest ważne. Jestem szczęśliwa, bo Pan Bóg mi daje wszystko. Nie mam dużych potrzeb. Nie chcę wielkiego domu, bogactwa... Ja mam małe mieszkanie, ale gdybym chciała, to zrobiłabym już tę karierę dawno. Mogłam, jak mieszkałam w Kijowie, ale nie chciałam tego. Była we mnie taka myśl, żeby przyjąć chrzest, ale nie wiedziałam, jak. Chodziłam po różnych cerkwiach, no i znalazłam to, co jest prawdziwe. To nie są wysokie słowa, to jest po prostu wewnętrznie. Nie każdemu o tym mówię, bo mało kto rozumie.

W Kijowie pracowałam, studiowałam na uniwersytecie kulturę, a potem, jak już dziecko do szkoły szło, to też musiałam pracować, żeby jakoś żyć.

- Jak Pani wspomina czasy studenckie?

- Oj, ciekawie, ciekawie, – uśmiechnęła się serdecznie – Córce też mówię, że trzeba studiować, bo to bardzo ważne. Ludzie byli twórczy. Na każdym wydziale studenci zakładali swoje kluby twórczości ludowej albo historii, żeby człowiek wiedział coś o korzeniach. No, ale muszę powiedzieć, że w tych książkach od historii nie zawsze była prawda. W Pana książkach to cała prawda, ale z podręczników do historii moje dziecko nic nie rozumiało. Kiedyś pyta mnie: „Mama, to tu jest Ukraina czy Polska, czy to Rosja?” Dzieci tego nie rozumieją. To wszystko jeszcze z czasów caratu, kiedy robili wszystko, żeby nasza historia była zamazana. Za caratu pisali, że tu jest Rosja. Za czasów radzieckich też. A teraz już po tradycji nowi historycy przepisują po staremu i nikt nie chce na to zważać, że to nie jest prawda. To trzeba, żeby z Pana książki przepisać do podręczników (śmiech).

- My tak sobie rozmawiamy o tym, co dla Pani jest ważne, a Pan tylko się przysłuchuje. Co dla Pana jest ważne?

- Na pierwszym miejscu jest Bóg, na drugim – moja rodzina, a na trzecim – historia Podola, właśnie Katedra. Ona jest sercem Podola i ludzi, którzy tu mieszkają. To serce wciąż bije. Za czasów komunistycznych było strasznie. Jak ludzie przychodzili do kościoła, to było straszne. Kościół był do cna zniszczony. Biskup Piotr Mańkowski zmarł w Polsce, był wygnany z Kamieńca... Straszna historia. Był proboszczem na początku poprzedniego wieku, Rosjanie go zesłali, w 1918 został biskupem. Potem musiał wyjechać, a za czasów okupacji zniszczono mu grób. Gubernator zapytał go, dlaczego to wszystko robił, a on odpowiedział, że dla Boga. Straszna historia. Teraz wiara jest ludziom obojętna i to też jest straszne. Strona materialna jest na pierwszym miejscu.

- Jak Pan odbiera i wspomina wcześniejsze plenery?

- Chyba nijak. Takie dzieciaki.

- Co Pan myśli o idei współpracy ze Wschodem?

- Pozytywnie. To może dać przyjaźń pomiędzy narodami. A tego, niestety, nie ma. To widać głównie w polityce... pozycja Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, a szkoda. Ich księża bardziej zajmują się polityką, niż duszpasterstwem. Myślę tak przez ostatnie wybory. W cerkwi nie było Boga, był tam portret Janukowycza.

- Jak Pan odbierał więc całą pomarańczową rewolucję?

- Pozytywnie. Starali się, żeby ludzie żyli jak ludzie, a nie jak bydło. Zmieniła trochę, pozytywnie. Mam nadzieję, że będzie więcej.

- Kiedy rozmawiałam z młodym chłopakiem z Podola, to mówił mi o takim słowie „przek”...

- Oj, tak, tak. To znaczy Polak. Chociażby wczoraj taki jeden pan do mnie powiedział po rosyjsku „Was, Polaków, wsiech nadał wybić z Ukrainy”. Tu mieszkają „homo sovietikus” – taka narodowość. Nie Polacy, nie Ukraińcy, ale ludzie sowieccy i od nich takie słowa można usłyszeć. No, ale za dwa, trzy lata... Po wyborach może tego nie będzie. Może będzie jakaś współpraca. Może różne wymiany

dzieci... To słowo wynika z kultury, wychowania i nieznajomości.

- Kiedy myśli Pan: „Ukraina”, co ma Pan przed oczyma?

- Moją ojczyznę. Różne kultury, tradycje, różni ludzie, ale jeden naród – patriotów swej ziemi. To jest Ukraina, ale nie Ukraina sowiecka ani rosyjska, bo to są moi nieprzyjaciele. Sowiecka była straszna. W Kamieńcu nie było kościoła. Moja mama została sama z małym bratem, jej ojca rozstrzelano, jej matka umarła w obozie. Całe życie się bała.

Rozmowa znowu zaczęła się srywać. Sporo osób interesowało się stoiskiem mojego rozmówcy. Nie chciałam przeszkadzać, więc podziękowałam i już miałam się żegnać, gdy spytałam o imię pani przewodniczki.

- Nazywam się Tatiana Łukaszcuk – Witkowska. – uśmiechnęła się – Tak, to polskie nazwisko od strony taty. Tutaj dużo ludzi ma takie korzenie. Na katedrze, kiedy przygotowywałam się do chrztu, ksiądz zapytał, dlaczego przyszedłam akurat do kościoła katolickiego. Może dla niego to nie był taki poważny argument, ale mu odpowiedziałam, że to wolanie przodków (śmiech). Argumentem prawdziwym jest to, że człowiek szuka Boga.

- A pan, jakiej narodowości tak naprawdę jest?

- W moich żyłach płynie krew polska, ukraińska i rosyjska. Jestem katolikiem obrządku rzymskokatolickiego. My na tej ziemi – tylko pielgrzymi, a nasza ojczyzna tam, w niebie.

- Ja słyszałam, że to tak jest, że krew katolicka w końcu w którymś pokoleniu musi zwyciężyć.

Przywitaliśmy się z przechodzącym organistą i zamieniliśmy z nim kilka słów. Pani Tatiana była ciekawa, co ja tu właściwie robię, kim jestem i jakie mam plany. Po tej rozmowie miałam trochę mieszane uczucia, bo momentami odnosiłam wrażenie, że nie rozmawiałam z prawdziwymi ludźmi, tylko świętymi.

Wieczorem rozpełtała się straszna burza i były przerwy w dostawie prądu. Jednak nam to nie przeszkadzało. Zjedliśmy kolację po ciemku, a potem jeszcze dobrą godzinę siedzieliśmy, żartując i rozmawiając. Kiedy za oknem trochę się uspokoiło, poszłam z panem Witkiem złapać taksówkę, żeby jak najszybciej dojechać do organisty, który dziś zaprosił nas do siebie. Taksówki w Kamieńcu są zazwyczaj w strasnym stanie. Jeden z uczestników pleneru, Łukaszcuk, opowiadał mi, że w trakcie jazdy coś zaczęło dymić z przodu, a kierowca jak gdyby nigdy nic wysiadł nalał pod maskę trochę wody i jechał dalej. W trakcie kursu zdarzyło się to kilkakrotnie, a taryfiarz za każdym razem nie był ani zmartwiony stanem samochodu, ani nim zziotywany. Taksówka, w której my jechaliśmy, nie miała żadnej awarii. Na podłodze było linoleum, a przy pasach wisiały jakieś kable. W strugach deszczu bardzo szybko dojechaliśmy na miejsce.

Mieszkanie, w którym się znaleźliśmy, urządzono ze smakiem. W dużym pokoju już czekał na nas suto zastawiony stół z śnieżnobiałym i wykrochmalonym obrusem. Wszystkie meble były z prawdziwego drewna i musiały służyć rodzinie od wielu lat. Na masywnych półkach stały równo poukładane książki. Wśród nich wypatrzyłam Biblię, Sienkiewicza, Żeromskiego, Mickiewicza, słowniki i piękne albumy. Wizerunkom Chrystusa i Matki Boskiej na szafkach towarzyszyły pejzaże z widokami z Kamieńca. Na lakierowanym pianinie stał wazon z kolorowymi palemkami wielkanocnymi i małą białoczerwona flagą.

Do Domu Pielgrzyma również wróciliśmy dość późno taksówką. Nie znam się na samochodach, ale to, co zobaczyłam, zrobiło na mnie duże wrażenie. Podobnie, jak cena za przejazd, bo wróciliśmy właściwie w nocy w luksusie, a zapłaciliśmy mniej, niż wcześniej. Żeby w Polsce były takie taksówki!

Następnego dnia czekało nas już tylko poranne pakowanie. Ta noc była ostatnią w Kamieńcu Podolskim.

Przed pomnikiem Lenina

Wyruszyliśmy w drogę. Naszym pierwszym celem był zamek w Międzyborzu. Przewodniczka, którą nam tam

przydzielono, była okropnie nudna i jak karabin wystrzelała z siebie wszystkie wykute na pamięć zdania bez większych emocji. Część muzealna była odnowiona, ale dawna część pałacowa okazała się kompletną ruiną. Wchodziliśmy do niej po deskach. Natomiast porozrzucane deski służyły za posadzkę. Na szczęście, trwają tam prace remontowe. Po zamkowym dziedzińcu wałęsali się miejscowi chłopcy,



ale szybko zostali wygonieni przez pracowników.

- Teraz jedziemy do ukraińskiej Częstochowy – oświadczył pan Witek. Po kościele w Łatyczowie oprowadzał nas dominikanin, który był zupełnie przeciwnieństwowym przewodniczką z Międzyborza. Żartował i zapraszał nas na następne wakacje. Tam również trwały prace budowlane. Widać było, że tereny przykościelne, dzięki działaniom zakonników, szybko się rozwijają. Podobno niedawno rozbili tam swoje namioty jadący na Krym studenci z Wrocławia.

W Niemirowie, miejscu produkcji ukraińskich alkoholi, miała odbyć się przerwa na obiad, jednak problemy ze znalezieniem lokalu były bardzo duże. W jednym serwowano pierogi z kapustą lub serem i barszcz, ale nie było toalety. Ktoś na ulicy polecił nam „Orchideę”, ale wypędził nas, bo już jakaś grupa zajęła wszystkie stoliki. W menu mieli tylko pierogi i zupę owocową. Poza tym jak twierdzili: restauracja w ogóle dziś nie działa. Kolejna miła nieznajoma powiedziała, że przy dworcu, całkiem niedaleko – około 5 minut stąd – można dobrze zjeść. Po drodze minęliśmy budkę z hot-dogami. Szliśmy dość długo, aż w końcu część z nas – zdesperowana i głodna – weszła do sklepu spożywczego. Przed nim spotkaliśmy miłą nieznajomą, która zdziwiona spytała, czy nie mamy samochodu, bo do polecanej przez nią miejscowości na piechotę jest trochę daleko. Postanowiliśmy więc wrócić po hot-dogi. Budkę, jak się okazało po chwili, zamknięto. Zrezygnowani wracaliśmy po barszcz i pierogi w barze bez toalety, gdy nagle ktoś zauważył restaurację. Weszliśmy. Delikatne światło sączyło się z kinkietów i oblewało tapetę w ciepłym odcieniu beżu. Pani, tam pracująca, były bardzo zdziwione, że ktoś je odwiedził. Toalety też nie było, ale za dwie hrywny się znalazła – całkowicie normalna, czystutka z pięknymi kafelkami. Tylko napis na drzwiach głosił: Toaleta nie pracuje. Wszystko byłoby wspaniałe, gdyby nie historia z uciekającymi schabowymi, która powstała w trakcie ponad godzinnej oczekiwania na obiad dla 10 osób. Znaczna część z nas popierała teorię, według której kotlety albo ziemniaki uciekały i mogli je podać dopiero po złapaniu. W trakcie pościgu oczywiście wystygły. Inni twierdzili, że to specjalna taktyka, której zasad sama do końca nie jestem pewna.

Późnym wieczorem dotarliśmy do Humania. Na obrzeżach miasta na ziemi wałęsały się kamienie, które wyglądały, jakby ktoś specjalnie tak je rozrzucił, żeby były pod ręką w razie potrzeby. Pan Witek oświadczył nam, że pomnik Lenina wskazuje na nasz hotel, więc nie może być on dobry. Niektórzy już w nim byli i opowiadali o zardzewiałej beczce z wodą, prześcieradłach prasowanych, a nie pranych oraz inne ciekawe historie.

Na początku nie wyglądało to źle. Pomyślałam nawet, że tylko sobie żartowali, bo hotel wydawał się całkiem normalny. Wzięcie prysznica z ciepłą wodą kosztowało 5 hrywien, ale był on czynny od 6 rano do 10 wieczorem. Przyjechaliśmy o 17 minut za późno, by z niego skorzystać. Dostałam dwójkę z Emilką. Pokoik był nieduży. Ściany po-

krzyła ładna tapeta. Nad łóżkiem Emilii wisiał kolchoznik, który kiedyś, służąc szerzeniu propagandy, dzielnie bronił się przed wyłączeniem i zmianą programu. Prześcieradła i pościel były brudne, więc postanowiliśmy spać w ubraniu. Rozmawialiśmy. W pewnym momencie po podłodze przebiegł wielki karaluch. Spojrzaliśmy po sobie porozumiewawczo. Zardzewiała beczka też była. Na szczęście ja traktuję takie warunki bardziej, jak przygodę, niż karę bożą. Mimo wszystko miło było opuścić hotel na całodzienną wycieczkę.

Po Sofijówce założonej przez Szczęsnego Potockiego dla pewnej princessy, czyli dla jego żony Zofii, oprowadzał nas mężczyzna, z urody przypominający rdzennego mieszkańca Ameryki Północnej. Mówił piękną polszczyzną, cytował Trembeckiego i był wprost zakochany w



tym parku. Zapytany przez pana Witka, dlaczego mają w Humaniu pomnik Lenina, bardzo się zdziwił i odpowiedział pytaniem: A czyj pomnik mielibyśmy postawić?

W Zofiówce spędziliśmy kilka godzin. Potem wsiadliśmy do autokaru, żeby pojechać do Targowicy. Droga w jedną stronę zabrała nam półtorej godziny. Zrobiliśmy sobie zbiorowe zdjęcie. Cały pobyt w Targowicy trwał niecałe 10 minut. Wszyscy byli wściekli, głodni i zmęczeni. Kiepskie nastroje złagodził pan Witek uroczy: Dziękuję wam w imieniu historii.

Po południu poszliśmy na cmentarz żydowski w Humaniu, na którym pochowany jest Nachman z Bracławia. Niestety, nawet chłopcy nie mogli wejść, bo wprowadzono zasadę, że tylko Żydzi mają tam wstęp. W dzielnicy żydowskiej pierwszy raz w życiu zobaczyłam prawdziwych chasydów. Słychać było dźwięki ich muzyki i rozmowy w jidysz. W kiosku z szyldem Only kosher food można było kupić kukurydzę w puszcze, colę light, fantę i normalne słodycze. Do hotelu wróciliśmy okrężną drogą przez ul. Radziecką.

Następnego dnia rano znow przeleciał po schodach karaluch. Zdaliśmy klucze i zapakowaliśmy bagaże do autokaru. Kiosk z prasą był oznaczony trzema napisami: po rosyjsku, ukraińsku i angielsku. W drodze do Lwowa zatrzymała nas policja i po negocjacjach zapłaciliśmy 40 hrywien mandatu. Mieliśmy szczęście, bo nie sprawdzili, kogo przewozimy. Na Ukrainie nie wolno bez zgody specjalnej instytucji przewozić dzieci i młodzież ukraińskiej. Poza tym pan Witek pobił rekord 417 punktów, grając na komórcę w grę, dźwięki której jednych doprowadzały do szału, a innych rozbrajały do lez.

Do Lwowa dojechaliśmy bardzo późnym wieczorem. Lwowianki były bardzo podekscytowane. Dziś odłączały się od nas i na kilka dni wracały do swoich domów. We Lwowie mieszkaliśmy u polskich rodzin. Ja mieszkałam u pani Jadwigi. Od razu po wejściu do domu usadziła nas przy stole i poczęstowała pomidorową z kuskami, kurczakiem i kaszą gryczaną. Gdy zjedliśmy, skierowała nas do łóżek. Była bardzo miła, ale budziła we mnie lęk. Prawie cały czas w jej mieszkaniu słyszałam telewizor, ale oglądano tylko polskie programy.

Łudu kochany

O 12 następnego dnia mieliśmy się wszyscy spotkać przed bramą główną Cmentarza Łyczakowskiego. Pani Jadwiga, zapytana jak tam najszybciej dojść, bez słowa zaprowadziła nas do kuchni i kazała wyjrzeć przez okno. Po drugiej stronie ulicy z niewielkiego wzgórza wyrastał las krzyży i kamiennych nagrobków. Wyjaśniła nam, jak mamy iść, ale my i tak wybrałyśmy drogę przez cmentarz. Cmentarz Łyczakowski jest jedną z najstarszych nekropoli w Europie. Na nim leżą m.in. Maria Konopnicka, Artur Gorottger, Władysław Belza, Karol Szajnocha, Iwan Franko, Julian Konstanty Ordon, Stefan

Banach i Gabriela Zapolska. Poza tym nagrobki były wykonywane przez słynnych rzeźbiarzy i po dziś dzień zachwycają. Największe wrażenie zrobiła na mnie Leżące piękność dłuta Juliana Markowskiego na grobowcu Reginy Markowskiej, która występowała na deskach lwowskiego teatru. Na cmentarzu Orłąt Lwowskich w ciszy odsłuchaliśmy krótkiego wykładu historycznego i zapaliliśmy znicze. Później oczywiście odbyła się długa wycieczka po Lwowie, ale warto było trochę się pomęczyc, bo zobaczyliśmy prawie wszystko, co warte jest zobaczenia w tym mieście.

Popołudnia i wieczory zależały od prywatnych uzgodnień z naszymi gospodarzami, więc mogliśmy się w miarę samodzielnie poruszać po okolicy. Możliwosci były trzy: na piechotę, taksówkami lub tramwajami. Pierwszy był najbardziej popularny ze względu na oczywiste, taksówek użyliśmy tak naprawdę dwa razy w czasie dwóch wieczorów, a tramwajami jeździliśmy prawie cały czas. We Lwowie powstała jedna z pierwszych linii tramwajowych w Europie. Szczególnie powiedziawszy, tramwaje, którymi podróżowaliśmy też pamiętały przynajmniej kilka pokoleń. Trzęsło w nich niemiłosiernie i na zakrętach myślałam, że za chwilę wyskoczymy z torów. Było to jednak bardziej zabawne, niż niebezpieczne. Wchodząc do lwowskiego tramwaju, należy zapłacić 50 kopiejek pani, która sprzedaje bilety. Pewnego razu, gdy zjeżdżałyśmy z góry, coś skrząnęło, tramwaj gwałtownie zahamował, a z kabiny wyskoczyła, załamując ręce, bileterka. Zauważywszy zaniepokojone miny ludzi, ze stoickim spokojem rzekła: Łudu kochany, wysiadajcie! No co ja wam zrobię jak stanął?! Chcąc, nie chcąc wszyscy musieli wysiadać, bo coś się popsuło.

Pewnego popołudnia ja i Emilia umówiłyśmy się z kilkoma osobami z Polski na wspólny wypad. Mieliśmy się spotkać przed bramą główną cmentarza. Sklepik, stojący po drugiej stronie ulicy, był już zamknięty. Usiadłyśmy na laweczce. Było jeszcze sporo przed czasem i w duchu liczyłam na to, że reszta dołączy do nas trochę wcześniej, niż było to ustalone. Po jakichś dziesięciu minutach dosiadł się do nas młody mężczyzna, ubrany w jeansy i zwykłą koszulę. W ręce trzymał piwo. Wcześniej też coś pił. Przywitał się i usiłował z nami porozmawiać. Trochę się przestraszyłam, bo nikogo nie było w okolicy. Nie mogłyśmy go zrozumieć i on nas chyba też nie do bardzo. Nie był agresywny, ale nie chciał się też od nas odczepić. Taras, bo tak miał na imię, mówił nam coś o swojej żonie i o tym, że jak był małżonkiem, chorował na ospe i opiekowała się nim siostra. Staraliśmy się go przekonać, że jest już po porze obiadowej i pewnie jego żona martwi się o niego. Zaczął nas wypytywać o Kraków, bo był tam jako chłopiec i mało już pamięta, a chciałby kiedyś jeszcze zwiedzić to miasto. Na domiar złego nasi towarzysze się spóźniali, ale nawet ich przybycie nie zraziło Tarasa. Odprowadził nas na przystanek tramwajowy. Tramwaj szybko podjechał, a on bardzo grzecznie i miło nas pożegnał oraz zapewniał, że polskie dziewczęta są najmiłsze na świecie.

W dniu powrotu do Polski żar লাł się z nieba. W autokarze ledwo można było wytrzymać. Przed granicą grupa ukraińska musiała wysiąść i przekroczyć ją na piechotę, bo nie mieliśmy zgody na ich przewóz. Stronę ukraińską przekroczyliśmy bez problemu, jednak w Polsce zatrzymano nas na dłużej i nawet przeszukano jedną z wależek. Później zjedliśmy obiad w restauracji, stylizowanej na staropolską karczmę. Podano wielki półmisek różnego rodzaju mięs.

Nikt z Polaków nie chciał wracać do domu. Dla jednego był to powrót do szarej codzienności, a dla innych – koniec przygody. Jadąc na Ukrainę, tak naprawdę nie o niej nie wiedziałam. Istniała dla mnie jej historia, ale nie było ludzi. Nie znalazł też prawdziwych realiów. Zobaczyłam zniszczone domy, ale też małe rezydencje i wystrojone aż do przesady młode kobiety ze Stanisławowa. Słyszałam o nienawiści, ale jej nie odczułam. Może byłam tam za krótko, żeby zobaczyć i poczuć wszystkie jej aspekty, ale na pewno przestała być dla mnie czarno-białym filmem bez głębszego wyrazu. Obraz Ukraina jest pełen barw i pełen kontrastów.

Admirał zachodnich mórz

TADEUSZ KURLUS

Trochę o tym wiemy, że byli ongiś genialni (dziś zaczynają jak gdyby wracać pod tym względem do swych innowacyjnych korzeni). Mało, kto jednak wie, że przed wiekami byli także potęgą morską! A tak – Europejczycy mogli na ich ówczesne osiągnięcia w tej dziedzinie jedynie patrzeć z zazdrością. To nie przesada, co zaraz pokusimy się udowodnić. Jest ku temu okazja, bo akurat w Singapurze otwarto wystawę,

Kto wynalazł papier? Chińczycy. A proch strzelniczy? Także Chińczycy. A ruchome czcionki? No jakże – Gutenberg! Nic podobnego, to także wynalazek Chińczyków, na dodatek wprowadzony u nich do użytku już w XI w. Pytajmy dalej: komu zawdzięczamy zapalki, ogień sztuczne, rakiety, atrament, wachlarze, płaszcze przeciwdeszczowe, parasole, pieniądze papierowe, liczydło, zegary, taczki, latawce, makaron, lody, kto zrewolucjonizował rolnictwo przez zastosowanie uprząży, dzięki czemu zamiast siły ludzkiej można było posługiwać się zwierzęcą, kto pierwszy zaczął odlewać żelazo, produkować stal? No cóż – wszystko to jest dziełem Chińczyków. Gdyby spisać wszystkie ich dawne wynalazki, jakże dobrze służące dziś ludzkości, powstałaby gruba encyklopedia.



obrazującą, jak dalece w Chinach już na początku XV w. było rozwinięte okrętownictwo, jakie tam budowano statki, i wreszcie, jak daleko zapuszczały się one na morza świata.

Otwarcie na świat

Rzecz cała wzięła swój początek, gdy od 1368 r. władzę w Państwie Środka przejęli cesarze z dynastii Ming, którzy, inaczej niż ich poprzednicy (izolujący przez wieki Chiny od świata i niewiele o nim wiedząc, przyjmowali, iż to one są jego pepkim, dlatego też tak zwali swe państwo – Państwem Środka), zrozumieli, że Chiny są mocarstwem, które powinno wyjść z opłoków i zaprezentować się zagranicą z najlepszej strony. Dlatego polecieli zbudować wielką flotę, mającą ponieść w świat wieści o tym, jaki potencjał reprezentują Chiny, a zarazem ułatwić nawiązanie stosunków dyplomatycznych i handlowych, i wreszcie poszerzyć wiedzę geograficzną Chińczyków, dotąd zamkniętą w dość wąskich granicach. Szczególnie popierał te plany cesarz Jung Lo, który panował w latach 1402-1424 (był to władca bardzo ambitny, to on, m. in., kazał odbudować Wielki Mur i przeniósł stolicę kraju do Pekinu). Zbudowano zatem w Nankinie wielką stocznice, zaczęto też szkolić marynarzy, ba – cesarz uruchomił nawet szkołę tłumaczy, którzy mieli w przyszłości ułatwiać jego wysłannikom kontakty z cudzoziemcami.

Cesarz upatrzył też sobie dowódcę swej floty – jego wybór padł na przebywającego na jego dworze już od czasów, gdy był jeszcze księciem, muzułmanina zwącego się Ma He. Urodził się ów przyszyły żeglarz w 1371 r. w mieście Kunjiang w prowincji Jünnan. Gdy najechała ją armia cesarza z dynastii Ming, jedenastoletniego wówczas chłopca zabrano, wykastrowano i skierowano na dworską służbę, a potem zaczęto wdrażać do służby wojskowej. Niebawem okazało się, że chłopak jest bardzo zdolny, a gdy już dorósł, okazał się bardzo dzielnym wojakiem, wspaniale spisującym się w wojnie domowej, z której wyszedł zwycięsko jego pan, Jung Lo. W uznaniu zasług, księżę mianował go „imperialnym eunuchem”, nadał mu nowe nazwisko, Czeng Ho (poprzednie, Ma, znaczyło „koń”, a na dworze było przyjęte, że z takim nazwiskiem nikt na nim nie może istnieć), potem – jak się rzekło – dowódcą floty.

Stocznia w Nankinie zdołała już wybudować odpowiednią liczbę statków, więc w 1405 r. Czeng Ho mógł wyruszyć w pierwszą (z ogółem siedmiu)

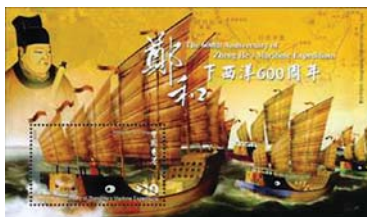
ekspedycje. Był dowódcą zaiste gigantycznej floty, armady, jakiej świat jeszcze nie widział, gdyż w jej skład wchodziły



aż 63 wielkie dżonki i 255 mniejszych, które wzięły na pokład, bagatela, 27.800 marynarzy i pasażerów. Wśród tych ostatnich byli kronikarze, lekarze, kucharze, mnisi, a także – 2.000 konkubin. Ponieważ przewidywano, że wyprawa potrwa około dwóch lat, zabrano wystarczający na ten czas zapas żywności, nie wiadomo bowiem, czy kuchnia u „barbarzyńców” – jak zwano obcych – będzie odpowiadać chińskim podniebniom. Chcąc mieć możliwie urozmaicone jadło, pomyślano także o świeżych jarzynach – w tym celu umieszczono na statkach skrzynie z ziemią, w których posadzono rozmaite warzywa (w tym soję), a nawet krzewy i drzewka owocowe. Admirał wiedział, jak ważny jest odpowiedni jadłospis, by ludzie nie chorowali. Zabrano także żywe zwierzęta, więc kucharze zawsze mieli pod ręką świeże mięso. Nie było również problemów z dostateczną ilością wody, gdyż statki były zaopatrzone w urządzenie do jej destylacji! Oczywiście, dżonki były także uzbrojone – były na nich na wszelki wypadek zainstalowane armaty, rakiety, miotacze ognia, katapulty do wyrzucania granatów, tudzież miny!

Chińska armada

Aby jeszcze bardziej uzmysłowić ogrom floty Czeng Ho, należy podać rozmiary jego „wielkich dżonek” – każda z nich miała około 475 stóp (142 m) długości oraz 193 (58 m) szerokości i dość miejsca na pokładzie nawet dla 1.000 osób, żagle zaś wciągano na siedem do dziesięciu masztów! Dla porównania podajmy, że flagowy statek Krzysztofa Kolumba, „Santa Maria” miał tylko 75 stóp (22 m) długości i 25 (7,5m) szerokości, czyli był sześć razy mniejszy! Co za kolosalna różnica! Jeszcze trzeba dodać, że chińskie statki



miały szczelne komory grodziowe, które w Europie zaczęto stosować dopiero wiele set lat później, a burty niektórych dżonek były obite blachą, co chroniło je przed wrogimi pociskami.

W czasie pierwszej podróży (1405-1407), flota admirała dotarła na Sumatrę, a potem – na Cejlon. Po drodze założyła stałą bazę na jednej z indonezyjskich wysp, z licznymi magazynami, z której potem korzystała w czasie kolejnych

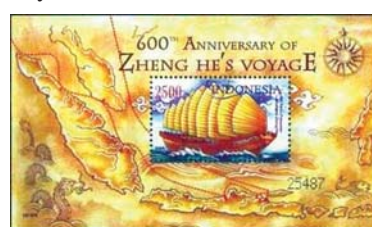
perfumy. Zgodnie z życzeniem cesarza, admirał składał także ofiary obcym bogom, np. na Cejlonie (dzisiaj jest to Sri Lanka) pozostawił w świątyni Buddy m. in. 1.000 sztuk złota, 5.000 sztuk srebra, 50 rolek jedwabiu.

Ostatnie dwie podróże Czeng Ho przedsięwziął w latach 1421-1422 i 1432-1433. Ogółem w czasie tych siedmiu wypraw jego statki przemierzyły



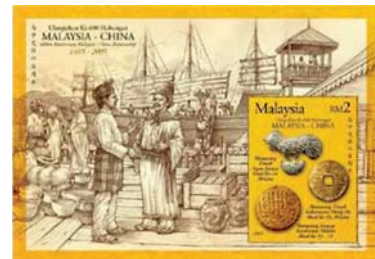
tyśiąć li, to jest około 35.000 mil, czyli ponad 56.000 km. Odwiedził 30 krajów. Zmarł dwa lata po ostatniej wyprawie. Uehonorowano go jak trzeba – napisano wiele książek o jego ekspedycjach, nadano jego imię wielu świątynom, nie tylko w Chinach, lecz także na Półwyspie Malajskim, na Jawie i na Sumatrze.

Zaiste, nie sposób przecenić jego dokonań – dzięki niemu Chińczycy poszerzyli znakomicie swą wiedzę o świecie, „zajrzeli” daleko za horyzont, udowodnili cudzoziemcom, że są potęgą, otworzyli nowe rynki zbytu dla swych towarów.



Wydawałoby się, że powinni byli te osiągnięcia utrwalac, dalej rozwijać żeglugę, tak wielkie przynosząc im korzyści. Nic podobnego! Protektor Czeng Ho, cesarz Jung Lo, zmarł w 1424 r., kolejny jeszcze przez pewien czas kontynuował jego politykę, ale późniejszy już całkowicie się od niej odzgnali, postanowili znowu kraj odizolować od świata, zamknąć przed nim. Kazali zniszczyć mapy i zapiski admirała z jego podróży, spalić wielkie dżonki i zabronili budować nowe, mające więcej, niż trzy maszty (tym, którzy się do tego nie dostosowali, groziła kara śmierci). Nawet wyjście w morze poza ustalony akwen było ryzykowne, bo również za łamanie tego zakazu przewidywano srogie kary. Zaprzęśli więc szanse Chin na utrzymanie ich przewagi na morzach. A to przecież oni mogli odkrywać Europę, a nie Europejczycy – Chiny!

Może właśnie dlatego współczesne Chiny postanowiły przywrócić Czeng Ho narodowej pamięci, w końcu był wspaniałym żeglarzem, dowódcą gigantycznej floty, a Państwo Środka, dziś – jak wyraził się jeden z naszych ekonomistów – idące do przodu jak burza, szuka wsparcia w swej chwalebnej przeszłości. Między innymi, więc nazwano imieniem admirała park i utworzono opodal Kunjangu, poświęcone mu



muzeum, w okolicach Nankinu odrestaurowano grób, w którym rzekomo spoczywa.

Kolumb się spóźnił...

Więcej nawet – postać admirała wzbudziła także ogromne zainteresowanie historyków. Odkrywają oni wciąż

nowe materiały, znacznie poszerzające wiedzę o Czeng Ho i w ogóle o chińskiej ekspansji na morzach w wieku XV i wcześniej. Sensację wywołały zwłaszcza wyniki badań byłego angielskiego oficera marynarki Gavina Menziesa, który znalazł dowody na to, że chiński żeglarz grubo, bo ponad 80 lat przed Kolumbem, opłynął świat, że zawiązał do brzegów Australii Północnej i Ameryki, gdzie nawet założył osiedla, co zdawałyby się potwierdzać niedawne odkrycia archeologiczne w Nowej Szkocji. Był także we Francji i w Holandii. A Kolumb i inni wielcy żeglarze europejscy, wyruszając na swe wyprawy, dysponowali starymi mapami, pochodzącymi z Chin, na które już były naniesione kraje, które dopiero zamierzali odkryć!

Wszystko to jest szalenie ciekawe i z pewnością wywoła jeszcze wiele dyskusji, prostujących naszą dotychczasową wiedzę o tym, jak człowiek poznawał swą planetę.

Oczywiście, 600. rocznicę pierwszej wyprawy Czeng Ho (pokazujemy jego postać w całej okazałości) uroczystie celebrowano, i to nie tylko w Chinach, lecz także w innych krajach, do których dotarła jego flota. Ukazało się także wiele dedykowanych wielkiemu żeglarzowi znaczków: poczta chińska wydała trzy i jeden blok, prezentujemy także blok Hongkongu, znaczek Makao z żyrafą, która wzbudziła w Państwie Środka tak wielką sensację, serię znaczków Singapuru oraz bloki Indonezji i Malezji. Wszystkie przypominają morskie Odyseje „Admirała Zachodnich Mórz”.

I znowu znaczki poszerzają naszą wiedzę historyczną, co z satysfakcją kwitujemy.

Pamięci wieloletniego kościelnego Katedry Lwowskiej

KONSTANTY CZAWAGA

Na cmentarzu w Rudnem koło Lwowa odbył się pogrzeb **śp. Romana Kowalskiego**, wieloletniego kościelnego Lwowskiej Bazyliki Metropolitalnej p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Zmarł w wieku 77 lat w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia - św. Szczepana, męczennika. Pozostał w pamięci wielu Polaków, parafian i gości Katedry jako bardzo skromny i pobożny człowiek. Pochodził ze Wschodu, zza Zbrucza, jednak prawie całe jego życie zostało powiązane ze Lwowem. Roman Kowalski, syn Narcyza i Pauliny z d. Żurawska urodził się 20 lipca 1930 roku w Dowbyszu koło Żytomierza.

„Rodzice starali się wychowywać swoje dzieci w duchu katolickim, chociaż za czasów sowieckich na tych terenach to było barzo ciężko i niebezpiecznie – wspomina pani Antonina, siostra zmarłego. – Jak gdzieś w pobliżu była Msza czy odpust, to chodziliśmy piechotą. We Lwowie już można było się uczyć w polskiej szkole i chodzić do kościoła.”

Tydzień przed Wigilią Bożego Narodzenia 1974 roku w Katedrze Lwowskiej Roman Kowalski zawarł sakrament małżeństwa z Anizją Kmetiuk. Na prośbę o. Rafała Kiernickiego, proboszcza w Katedrze



został w dniu 1 kwietnia 1976 roku zatrudniony w charakterze elektryka Katedry, którą to funkcję pełnił do 1983 roku. W tym też roku został zatrudniony w charakterze kościelnego. W latach 1988-1990 był członkiem komitetu katedralnego. Wcześniej wiele udzielał się przy parafii św. Antoniego we Lwowie, gdzie służył niezbędną pomocą przy chorym ks. Ignacym Chwirucie. Następnie przeszedł na emeryturę, jednak przez następne pięć lat przychodził do bazyliki, aby pomagać w przygotowaniu do Mszy św. W pamięci wiernych pozostał jako

człowiek modlitwy na różańcu. Był bardzo często widziany z różańcem w rękę na modlitwie w kaplicy Najświętszego Sakramentu. Niektórzy, widząc jego charakterystyczne poswienie wokół głowy, mówili, że Roman Kowalski już za życia otrzymał od Boga „przywilej noszenia aureoli”. O tym mówił w kazaniu podczas ceremonii pogrzebowej ks. Marian Skowyra, rektor Kościoła Matki Bożej Gromnicznej we Lwowie. Msza św. została odprawiona pod przewodnictwem o. Aleksandra Litwiniuka OFM Conv. Proboszcza parafii św. Antoniego we Lwowie.

KUCHNIA KRESOWA

BEFSZTYK PO LWOWSKU

40 dag wołowiny gotowanej z rosółu, 2 jajka ugotowane na twardo, 4 łyżki śmietany, 10 dag cebuli, 10 dag ogórków kwaszonych, 5 dag grzybków marynowanych, 4 sardynki, sól, pieprz i mielona papryka do smaku. Mięso zemieć razem z jajkami, wymieszać z musztardą i śmietaną, doprawić, uformować befsztyki, ułożyć na talerzykach. Cebulę obrać, opłukać, pokrajać w kostkę razem z obranymi ze skórki ogórkami i grzybkami, ułożyć obok mięsa. Na befsztykach położyć sardynki. Podawać zaraz po przygotowaniu z pieczywem pszennym z masłem

PRZYSŁOWIA NA STYCZEŃ

Bój się w styczniu wiosny, bo marzec zazdrosny.
Kiedy styczeń najstrzejszy, tedy roczek najplodniejszy.
Styczeń, styczeń wszystko studzi: ziemię, wodę, bydło, ludzi.
Kiedy w styczniu lato, w lecie zimno za to.
Na Nowy Rok (1 stycznia) przybyło dnia na barani skok.
Nowy Rok pogodny, zbiór będzie łagodny.
Gdy na Nowy Rok pluta, ze żniwem będzie pokuta.
Od świętej Genowefy (3 stycznia) listopad swój początek bierze.
Gdy w Trzech Króli (6 stycznia) mrozem trzyma, będzie jeszcze długo zima.
Królowie pod szopę, dnia na kurzą stopę.
Na Trzech Króli słońce świeci, wiosna do nas pędem leci.
Święta Weronika (13 stycznia) słonko pomyka.
Od Henryka (19 stycznia) noc umyka, a Najświętsza Rodzina już sporo dnia przyda.

Fabian i Sebastian (20 stycznia) gdy mróz dadzą, sroga zimą przyprowadzą. Fabian i Sebastian pierwsi drzewa budzą, ale radzi często ludź. Święty Fabian i Sebastian – pierwsze świątki wiosny.
Jak święta Agnieszka (21 stycznia) wypuści śnieg z mieszka, to go nie powstrzyma ani do Franciszka. Święta Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka. Skromna jak święta Agnieszka, a diabeł w niej mieszka.
Gdy na Wicka i Pawła (22 stycznia) słonko podświetuje, dobre latko obiecuje. W święty Wincenty i Pawła dzień jasny, zboża i wina czyni nam znak krasny.
Kiedy Paweł się nawróci (25 stycznia), zima na wspak się obróci.
Na Nawrócenie Pawła pogoda, będzie na zboże uroda, na Nawrócenie Pawła śnieg i deszcz, to drogości pewny wieszcz.

źródło: www.wspolnota-polska.org.pl

O tym i owym

Ciekawe strony internetowe o Kresach

www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.cc.pl/lwow
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie.webpak.pl

www.kresy.co.uk/stanislawow.pl
www.kresy.cc.pl/lwow
www.kresy2000.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.lwow.com.pl

Poszukuję śladów swojej rodziny

Victor Alvarez z Argentyny poszukuje śladów swojej rodziny. Jego dziadek, Piotr Ostrowski, syn Michała i Marii z domu Kridczawskej, urodzony w 1904 roku w Trembowli województwo Tarnopol, wyemigrował do Argentyny w 1924 roku. Szczegółowe informacje na stronie internetowej <http://www.genealogiapolska.pl>

Kontakt: Piotr Korycki 0048 22 774 08 52

e-mail: piotr@korycki.eu

**Bardzo dziękuję za pomoc
Z poważaniem Piotr Korycki, Polska**



Panu Konsulowi RP we Lwowie
Waldemarowi Kowalskiemu
serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

MATKI

składają
Konsulat Generalny RP we Lwowie,
Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi,
Polacy z lwowskiego okręgu konsularnego,
a także redakcja pisma „Kurier Galicyjski”



Z powodu śmierci

Ś.P. ROMANA KOWALSKIEGO,

wieloletniego kościelnego Archikatedry Lwowskiej,
Małżonce, dzieciom, rodzinie
serdeczne kondolencje składają Chór Archikatedry Lwowskiej
im. Jana Pawła II,
przyjaciele, znajomi, wierni Archikatedry Lwowskiej
oraz redakcja pisma „Kurier Galicyjski”

Reklama komercyjna

Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie

ПЕРША СТОРІНКА
PIERWSZA STRONA

1 cm²..... 8,5 грн.
1 cm²..... 8,5 грн.

повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm²..... 6 грн.
1 cm²..... 6 грн.

повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm²..... 4,5 грн.
1 cm²..... 4,5 грн.

чорно-білі
czarno-białe

ОСТАННЯ СТОРІНКА
STRONA OSTATNIA

1 cm²..... 7,5 грн.
1 cm²..... 7,5 грн.

повноколірний
pełny kolor

AFORYZMY

Zezem o mężczyznach

JÓZEF BUŁATOWICZ

* Nie wszystkie czony definicji mężczyzny są do końca określone.
* Mężczyzna z każdego stolka chce tron uczynić.
* Większość mężczyzn ma naturę wędrownych ptaków.
* Samotny mężczyzna to skutek i przyczyna jednocześnie.
* Prędzej spotkasz misia, który nie lubi miodu, niż mężczyznę, który nie lubi pochlebstw.
* Mężczyzna i bez świąt często świętuje.
* Mężczyźni chwałą dobry gust żon głównie w odniesieniu do siebie.
* Brzuch mężczyzny jest miemikiem jego aktywności.
* Do serca mężczyzny można także trafić przez jego próżność.
* Mężczyzna najpierw macza palce, a później umywa ręce.
* Najcenniejsza książka z jego biblioteki to ta, do której chowa zaskórniaki.
* Bardziej niż wroga mężczyzna boi się śmieszności.
* Poczyny mężczyzny korygują jego urodę.
* Mężczyzna podpisuje się niekiedy znakiem zapytania.
* Dla mężczyzn ważniejsze jest dowartościowanie się, niż wartość.

* Mężczyźni nie plotkują, tylko opowiadają o innych.
* Jedni dyrygują pałeczką, inni pałką.
* Mężczyzna to narowisty koń.
* Trzeba umieć popuszczać mu cugli.
* Wśród narodów świata mężczyźni stanowią odrębną rasę.
* Mężczyzna z ciekawości zapuszcza się w głąb piekieł.
* Męski autorytet niekiedy nawet dzieci rozśmiesza.
* A jednak trudno wyobrazić sobie raj bez mężczyzn.
* Mężczyznom dodaje uroku fakt, że czasem zachowują się jak dzieci.
* W każdą męską decyzję wpisane jest ryzyko.
* Mężczyzna nie zawsze wie, kogo gra, kiedy przestaje być sobą.
* Słaby mężczyzna nie jest dobrym partnerem dla silnej kobiety.
* Ucho mężczyzny wychwytuje nawet najcichszy szelest uznania.
* Są samarytanie, którzy do wyciągniętej ręki tonącego wkładają jałmużnę.
* Raj biedaka byłby karą dla bogatego.
* Niechcianemu żaden uśmiech nie pomoże.
* I w duszy artysty pieniądze mają wiele do powiedzenia.
* Zły doradca gorszy od wroga.
* Urodą mężczyzny jest rozum.

POLSKIE RADIO PRZEZ SATELITĘ

Od 28 października 2007 do 30 marca 2008
Czas warszawski

07.00 - 07.59
SAT
09.00 - 09.59
SAT
12.30 - 12.59 mkHz
31.769445 41.187285
SAT
17.30 - 18.29 mkHz
48.856140 SAT
23.00 - 23.59 mkHz
49.586050 31.059660
SAT
00.00 - 00.59
SAT

SAT - program Polskiego Radia dla Zagranicy rozpowszechniany jest w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, pozycja orbitalna 13 $\frac{1}{2}$ E, częstotliwość odbiorcza 10,892 Ghz, polaryzacja pozioma (H) FEC 1, SR 27500, Audio PID 119. Audycje Polskiego Radia dla Zagranicy emitowane są przez platformę cyfrową Cyfra+

Śluchaj nas:
Francja- Paryż - Radio France International

Litwa- Wilno
- Radio Znad Wilii FM 103,8-
Radio Baltic Waves AM 1557
kHz 18.00 – 19.00
czasu lokalnego (16.00 –
17.00 UTC)

Łotwa - Daugavpilis - Radio
Alice Plus 101,6 FM 22.00 –
23.00 czasu miejscowego
(19.00-20.00 UTC)

Ukraina- Lwów – Radio
Niezależnist UKF 106,7 MHz-
Winnica - Radio TAK 103,7
FM- Chmielnicki - Radio
Podilla Center 104,6 FM-
Równe - Radio Kraj 68,2 FM-
Żytomierz – Radio
Żytomyrska Chwyła 71,1 FM
i 103,4 FM- Dibrowica - Radio
Melodia 105,3 FM

USA- Nowy Jork - Radio Rytm
93.1 FM SCA- Nowy Jork -
Polskie radio Nowy Jork 910
AM- Chicago - Polskieradio
Chicago 1030 AMWUMR

Satelita:
Ameryka Północna
Satelita Intelsat Americas 5
(Telstar 5), 97 $\frac{1}{2}$ dl. zachodniej,
Transponder 27, 12.177 GHz;

Sprostowanie

Przepraszamy za niecisłości, które wystąpiły w nr 9-10 (51-52) „Kuriera Galicyjskiego”, w artykule „Wysepka polskości”. Mianowicie: tekst napisała, w imieniu rodziców przedszkolaków Ilona Szarybura; w materiale chodzi o przedszkole nr 131, przy ul. Antonowicza 109 a we Lwowie. Przepraszamy.

Lwowska Fala, Radio Lwów Radio Polonia oraz Radio Maryja

Co tydzień, w każdą niedzielę o godzinie 10:10 (czasu polskiego) na antenie Polskiego Radia w Katowicach gości Lwowska Fala, prowadzona przez panią Danutę Skalską. Poniżej lista nadajników i częstotliwości Polskiego Radia w Katowicach:

Bielsko-Biała – 103 FM
Częstochowa – 98.4 FM
Katowice – 102.2 FM
Rybnik – 97 FM

Poza tym, możliwy jest odbiór audycji poprzez Internet, bezpośrednio ze strony internetowej PR w Katowicach.

Adres strony: <http://www.prk.pl>

Audycje archiwalne

Na naszej stronie www.kresowianie.arx.pl zamieszczamy audycje archiwalne, zapisane w stereofonicznych plikach dźwiękowych w formacie Ogg Vorbis.

Do odsłuchu audycji w Systemach MS Windows będzie potrzebny dodatkowy program, który potrafi obsługiwać format ogg. Takim programem jest np. Winamp, darmowy program do odsłuchu plików muzycznych. Audycje zostały zsampleowane w systemie Linux Fedora 5 przy użyciu oprogramowania typu Open Source opartego na licencjach GNU/GPL.

Każda audycja jest skatalogowana i opisana. Posługując się oknem „Szukaj” (u góry po lewej stronie) można odnaleźć frazy, występujące w opisach audycji.

Polskie Radio Lwów

Zachęcamy też wszystkich do słuchania Polskiego Radia Lwów (ze Lwowa) w każdą sobotę od godz. 8.00 do godz. 12.00 (czasu polskiego) oraz w niedzielę od godz. 18.15 do 20.15 na fali: <http://www.radio-n.com/eng/OnAir/onair.htm>. W eterze program jest nadawany na fali **106,7 FM (Radio „Niezależnist”)** i jest dobrze słyszalny w promieniu 100 km od Lwowa.

Radio Polonia

(godz. 18.30 - czasu miejscowego)

- Lwów – Radio Niezależnist UKF 106,7 MH
- Winnica – Radio TAK 103,7 FM
- Chmielnicki - Radio Podilla Center 104,6 FM
- Równe - Radio Kraj 68,2 FM
- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 FM i 103,4 FM

Radio Maryja: Lublin UKF 97,0; Przemysł UKF 105,1;

- Rzeszów UKF 104, 5

Humor Żydów galicyjskich

WG HORACEGO SAFRINA

Chasyd opowiada:

Pewnego dnia cadyk nasz siedział przy wieczerzy piątkowej i spożywał rybę. Nagle widelec wypadł mu z ręki i z ust boskiego męża wyrwał się przeraźliwy okrzyk:
- Gwałtu, Żydz! Spotkało nas straszne nieszczęście! Kołomyja się pali!... Biesiadnicy oniemieli ze strachu. Toż to nie bagatela: Kołomyja! Miasto, w którym mieszka, na psa urok, wiele tysięcy Żydów.

Toteż szabas spędziliśmy na modłach i w wielkiej żalobie. A kiedy w poniedziałek rano zawitał do naszego miasta pewien przybysz właśnie z Kołomyi, spytaliśmy pełni niepokoju, ile to domów i sklepów spłonęło i czy nikt z Żydów, broń Boże, nie zginął w pożarze. Przybysz spojrzal na nas ze zdumieniem i powiada, że w mieście Kołomyi nie było żadnego pożaru. Zrozumcie no dobrze: głupstwo pożar! Ale cóż za wzrok ma nasz cadyk! Wzrok, co sięga z Husiatynia do Kołomyi?!... Policz, ile to mil...

Chasyd: Pewnego dnia do dworu naszego cadyku zajechało bez uprzedzenia kilkunastu dostojnych mężów. Na wieczerzę przygotowano zaledwie dwa niewielkie karpie. Jednakowoż rabbi wszedł do kuchni, klasnął w

dłonie i na półmiskach znalazło się wkrótce pięć, sześć, no, dwanaście ryb! Mitnaged: Racja. Sam się przekonałem, że cadykowie czynią istne cuda. Raz grałem z jednym sławnym cadykiem w karty. Miałem cztery damy i już myślałem, że wygrał. Aż tu patrzę – cadyk rozkłada karty i oczom moim objawia się pięć asów... Chasyd: Ależ to nieprawda! W kartach nie może być więcej nad cztery asy! Mitnaged: Racja. Opuść coś z ryb, to ja opuszczę coś z asów.

Biedny chasyd przychodzi z placzem do cadyka i skarży się:
- Rabbi, zbliża się Pascha, a ja nie mam złamanego grosza na macę.
- Nie martw się przedwcześnie, dobry człowieku – uspokajaj go rabbi. – Na pewno będziesz miał macę!
Chasyd wraca uspokojony do domu. Mija tydzień, dwa... Święto za pasem, a pieniędzy ani widu, ani słychu. Nieszczęśliwiec sprzedaje zatem jedyny srebrny lichtarz i kupuje macę.
Po święcie chasyd zwraca się do cadyka z wyrzutem:

- Nie gniewajcie się, rabbi, ale wasze słowa nie okazały się prawdziwe. Musiałem aż sprzedać świecznik szabasowy, żeby kupić macę.
Cadyk na to:
- I ty śmiesz wątpić w prawdziwość moich słów? Czyż nie mówiłem ci, że będziesz miał macę?!

KURIER galicyjski

«КУР'ЕР ГАЛИЦІЙСЬКИЙ»

REDAKCJA:

Skrzynka pocztowa (a/c) nr 80
Ivano-Frankivsk 76000,
абонентська скринька №80
Adres redakcji:
Ivano-Frankivsk 76002
Івано-Франківськ
ul. Ivasiuka 60
вул. Івасюка 60
tel: +38 (0342) 71-38-66

e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe: WAT „Raiffeisen Bank
AWAL” IF OD APPB MFO 336462 r/r
2600086283
BAT «Райффайзен Банк Аваль» ІФОД
АПІБ МФО 336462 p/p 2600086283

Świadectwo rejestracji Seria KW
nr 12639-1523 R
wydane 14.05.2007
Свідоцтво про державну реєстрацію
Серія KB № 12639-1523 P
від 14.05.2007 p.

Założyciel i wydawca:
Miroslaw Rowicki
Засновник і видавець М. М. Ровіцкі

Skład redakcji:

redaktor naczelny: Marcin Romer
zgrodurevery@wp.pl
z-ca red. naczelnego: Irena Masalska
miriamg@wp.pl
główny red. techniczny: Maria Basza
maribasza@wp.pl
oraz: Jurij Smirnow, Konstanty Czawaga,
Renata Kłęczarska, Władysława
Dobosiewicz, Julia Tomczak
współpracują: Olga Ciwkacz,
Szymon Kazimierski, Piotr Janczarek
(www.poznajukraine.com),
Tadeusz Kurlus, Jacek Borzecki,
Tadeusz Olszański i inni.
Pismo wspierane przez Senat RP
za pośrednictwem Fundacji Pomoc
Polakom na Wschodzie

Za treść reklam, ogłoszeń i oświadczeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności, nie zamówionych rękopisów nie zwraca i pozostawia sobie prawo do skrótów. Poglądy, prezentowane na łamach naszego pisma, nie zawsze odpowiadają poglądom członków redakcji lub wydawcy.
Druk: Wydawniczy Dom „Młoda Natyczyna” Sp.zo.o.
ТЗОВ Видавничий Дім «Молода Галичина»
Indeks na prenumeratę 98780
Індекс передплати 98780
Передплатити можна протягом року в усіх відділеннях зв'язку України
Газета виходить 2 рази на місяць

Lecą, lecą ...ślubne baloniki... na Ukrainę

Marcin Romer tekst

Beata Ewa Wojciechowska zdjęcia

Pierwszy września tego roku był pięknym słonecznym dniem. W Konstancinie pod Warszawą odbywało się przyjęcie weselne Kasi i Tomka. To wspaniała para. Razem przeszli przez całą Amerykę Południową aż do Patagonii. Kasia – zapalony żeglarz – opłynęła pół świata. Tomek – operator filmowy – sfilmował niemało. W czasie uroczystości weselnych wypuszczono w niebo baloniki. Do każdego była doczepiona kartka:



Drogi znalazco tej kartki!

W dniu 1.IX.2007. Kasia Kor-sieko i Tomek Wójcik wzięli ślub. Chcąc podzielić się tą radosną wiadomością – wypuściliśmy serię balonów z życzeniami od naszych gości. Jeśli znalazłeś tę kartkę, będziemy wdzięczni za jej przesłanie

**Kasia i Tomek
Warszawa
e-mail:
kasiulkaitomaszek@wp.pl**

Za jakiś czas do Kasi i Tomka przyszedł mail:

**ДОБРОГО ДНЯ,
ШАНОВНІ МОЛОДЯТА!**

Другого вересня у неділю о 12 годині дня я отримала ваше повідомлення про одруження з побажанням від вашої гості.

Щиро дякую!

Здивована з того, що так швидко воно долетіло до України, та перепрошую водночас, що пізно повідомляю про це. Сприйняла подію,

як суттєве підвищення настрою того дня, і як добрий знак на майбутнє. Щиро зичу Вам довгих і безмарних років життя у згоді і достатку, радості народження нащадків, здоров'я і довголіття Вашим батькам.

Дещо про себе.

Мене звати Марія Шобська, мені 31 рік, українка, заміжня, мати двох дітей. Навчаюсь на п'ятому курсі економічного факультету Тернопільського комерційного інституту (заочно), працюю у видавництві "Укрмедкнига" Тернопільського медичного університету ім. І. Я. Горбачевського. Проживаю у невеличкому селищі міського типу "Дружба", яке розташоване за 26 кілометрів від міста Тернопіль. Мешкаю у власному будинку з чоловіком та дітьми. Мого чоловіка звати Ігор Шобський, 34 роки, освіта незакінчена вища, технічна. Приватний підприємець.

19 листопада 1994 року ми одружилися. Шлюб відбувся у костелі римсько-католицької віри, що у Микунцях, Тербовлянського



району. Там ми і похрестили наших дітей. Едік (12 років) і Діана (10 років) – школярі.

Буду рада отримати відповідь з розповіддю про Вас та Вашу сім'ю для подальшого підтримання дружніх стосунків (при бажанні!) та плідного сусідства між нашими країнами.

Марія Шобська

**WITAM, PAŃSTWA,
MŁODZI MAŁŻONKOWIE!**

W niedzielę, 2 września, o godzinie 12. otrzymałam Państwa informację o Waszym ślubie z życzeniami od gości.

Dziękuję serdecznie!

Jestem zaskoczona, że tak szybko to zawiadomienie doleciało do Ukrainy, jednocześnie przepraszam, że późno o tym informuję. Otrzymanie tego za-

mieszkamy we własnym budynku. Mąż – to Igor Szobski, ma 34 lata, jest prywatnym przedsiębiorcą z wykształceniem wyższym niepełnym.

Pobraliśmy się 19 listopada 1994 roku. Wzięliśmy ślub w kościele rzymskokatolickim, znajdującym się w Mikulińcach, powiat Trembowla. Tam też ochrzcziliśmy nasze dzieci. Edek ma 12 lat, a Diana – 10, uczą się w szkole.



wiadomienia bardzo mi podniosło tego dnia nastrój, a także odczytałam je, jak dobry znak na przyszłość. Z całego serca życzę długich i pogodnych lat życia w zgodzie i dostatku, radości z narodzenia dzieci, zdrowia i długich lat życia Waszym Rodzicom.

Trochę o sobie.

Nazywam się Maria Szobska, mam 31 lat, jestem Ukrainką, zamężną, matką dwójki dzieci. Studiuję na piątym roku Wydziału Ekonomii w Tamopolskim Instytucie Komercyjnym (zaocznie), pracuję w wydawnictwie „Ukraińska księżka medyczna”, które należy do Tamopolskiego Uniwersytetu Medycznego im. I.J. Gorbaczewskiego. Mieszkam w niewielkiej osadzie „Przyjaźń”, położonej w odległości 26 km od Tamopola. Wraz z mężem i dziećmi

Ucieszę się, gdy otrzymam odpowiedź z opowieścią o Was i Waszej Rodzinie. Myślę, że na Państwa życzenie moglibyśmy utrzymywać kontakt. Będzie on też świadectwem naprawdę dobrego sąsiedztwa obu naszych krajów.

Swobodnie czytam i rozumiem po polsku. Możemy z Wami się porozumiewać w Waszym języku ojczystym lub w rosyjskim.

**Czekam na list!
Maria Szobska
osada „Przyjaźń”,
woj. Tamopolskie, Ukraina**

I my dołączamy się do życzeń dla jednej i drugiej pary. To naprawdę dobry znak! Dla nich osobiście i naszych krajów. Wszystkiego najlepszego!

Apel o nadsyłanie fotografii Poloników w świecie

Wydawnictwo Polonicum Institut kończy opracowanie szaty graficznej monumentalnej pracy Mariana Katuskiego z Australii „Śladami Polaków po świecie” CD-ROM ISBN 2 88494 080 4, rezultat kilkudziesięciu lat benedyktyńskich badań autora, która przedstawia losy Polaków w 64 krajach świata. Publikacja ta na CD-ROM zawiera 1 000 pełnych stron A4 tekstu. Praca ilustrowana będzie przez ponad setkę zdjęć polskich znaków pamięci na Obczyźnie i Poloników. Zamówienia w subskrypcji po specjalnej cenie tylko do końca stycznia 2008 – dostawa: luty 2008. Dodatkowe informacje jak dokładny spis treści publikacji znajdują się na stronach web:

www.swisspass.ch/polonicum.htm

Zwracamy się z gorącym apelem do Polaków, zamieszkałych za granicą oraz zagranicznych instytucji polskich w

świecie o nadsyłanie zdjęć poloników do końca stycznia 2008.

Zdjęcia te mogą być amatorskie, typu rodzinnego, przedstawiając również osoby (pod warunkiem, że nie przysłaniają one samego Polonika!). Każde zdjęcie powinno być opisane danymi: Kraj – Jedn. administracyjna - Miejscowość – Forma – Komu poświęcony jest Polonik.

Jako Poloniki trwale i Polskie Znaki Pamięci na Obczyźnie uznajemy pomniki, tablice pamiątkowe, obeliski, groby wielkich Polaków, polskie groby i cmentarze wojskowe, miejsca walk i męczeństwa Polaków; itp.

Wszystkie publikowane zdjęcia będą podpisane nazwiskiem ich autora. Stąd proszę nie zapomnieć przekazania również informacji: Nazwisko i imię autora zdjęcia, adres e-mail i pocztowy. Przesyłkę zdjęć drogą e-mail powinna

towarzyszyć formułka „Wyrażam zgodę na wykorzystanie załączonych zdjęć, które są mojego autorstwa, na potrzeby różnych publikacji Polonicum Institut we Fribourg, Szwajcaria”

Jako rekompensatę, 5% autorów zakwalifikowanych fotografii otrzyma, poprzez losowanie, bezpłatne CD z publikacją „Śladami Polaków po świecie”. Wszyscy pozostali autorzy fotografii otrzymają ofertę nabycia jej po specjalnej cenie.

Polonicum Machindex © Institut
Edyta MACH
case postale 1182
CH-1701 Fribourg, Szwajcaria
Fax: + 41 (26) 684 27 25
e-mail: polonicum@tele2.ch
polonicum@swisspass.ch
www.swisspass.ch/polonicum.htm

R E K L A M A K O M E R C Y J N A

USŁUGI TURYSTYCZNE

Fachowe oprowadzanie po Lwowie
Pilotowanie grup turystycznych po Kresach
Tel.: 0-0380679447843

KURIER galicyjski

**NIEZALEŻNE PISMO POLAKÓW
NA UKRAINIE**

**Można zaprenumerować
na pocztę na luty 2008 roku!!!**

**KOD PRENUMERATY
UKRPOŠTA 98780**

**W sprawie prenumeraty gazety do Polski,
prosimy o kontakt pod naszym adresem
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl**

Kantorowe kursy walut na Ukrainie

14.01.2008, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
5,04	1USD	5,07
7,45	1EUR	7,50
2,01	1PLN	2,08
9,86	1GBP	10,00
0,202	1RUR	0,208